



Jerzy Afanasjew
Robot Orfeusz

Tadeusz Masek
Moja wojna
o rynek
w Lubartowie

Jacek Wegner
Rzeczywistość
dławiona
sprzecznością

Romuald Wiśniewski
Buntownicy
bez
sił i programu

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 30 I 1972 Nr 3 (488)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Czego trzeba literaturze?

Bogdan Madej

CZAS powojenny w polskiej literaturze był czasem wysoce niejednorodnym. Bieg jej w nim był chropawy, trudny i meandryczny. Książki, które powstały, trzymały się przeważnie terenów spenetrowanych, a twórczość literacka w ogóle, podobna często do narciarza pokonującego trudną trasę, stawała się w warunkach niedostatecznej znajomości reguł wielkiej gry. W pewnych okresach istniały co prawda różne zasady, chowane były jednak pod korcem, a pełną wiedzę o rejonach w których przebiegały granice znaczone owymi zasadami, posiadali zarwycza ci, co te granice zakreślali. Pisarze nie pochwalający w życiu publicznym białych plam przekraczali owe granice nie wiedząc dobrze, kiedy. Inni, w odróżnieniu od pierwszych, ze zbytniej ostrożności lub zwykłego cynizmu kołowali w miejscu trzymając się dróg nie tyle absolutnie bezpiecznych, co dających żelazną reką nie narażenia na szwank cennych wygód. Twórczości literackiej nie objawiano bowiem czytelnym znaków orientacyjnych, a stawiano po fakcie autorytatywne zakazy. Stąd efekt pełnego ewierwiewca niezbyt imponujący. Literatura współczesna, z różnych powodów uwikłana bardziej w osobisty los twórców aniżeli w życie narodu, unikała czynności rozpoznawczych, jak ognia bała się stawiania diagnoz, niezwykle rzadko mówiła o dolegliwościach i doświadczeniach, z którymi społeczeństwo chciało wziąć rozbrat i nie powtarzać ich więcej w bliskiej czy dalekiej przyszłości.

Były w owym ewierwiewcu lata, kiedy do słowa pisanego przywiązywano wagę ogromną, a pisarze chodzili z politykami w aureoli współnawiedzonych. Mimo to po niewczesie okres ten okazał się dla literatury stracony — niewiele dzieł literackich pamięta się po latach dwudziestu. Liczni twierdzili wówczas, że piszą do szczytów, co po odblokowaniu hamującego mechanizmu okazało się mistyfikacją i blufem na towarzyski użytek. Nie mniej mił pełnych szuffad towarzyszył wejściu w następny okres, przynajmniej w stadium inauguracyjnym o wiele laskawszy, bo później przyszedł czas niemal podobnie jałowy.

Mówi się do dziś, że — z nielicznymi wyjątkami — polskiej literaturze powojennej, a więc literaturze przez cały czas nam współczesnej, brak dzieł współczesnych, zaangażowanych, śmiałych i oryginalnych jednocześnie.

Należałoby postawić parę pytań w nadziei, że odpowiedzi byłyby jednocześnie rozpoznaniem przyczyn dotychczasowych niedomagań i próbą ustalenia drogowskazów na przyszłość. Można by zacząć od stereotypowego pytania: czego trzeba pisarzowi, aby pisał wartościowe książki, ale niewielki miałoby to sens — po pierwszym zasadniczym pytaniu należałoby przejść do kwestii szczegółowych: jakie marki maszyny do pisania są najodpowied-

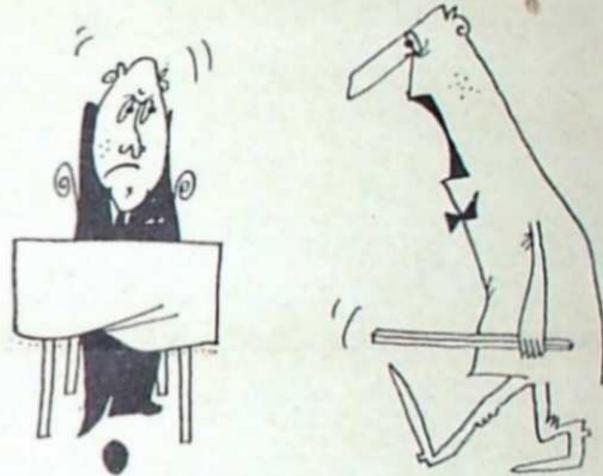
niejsze, jaki rodzaj i miękkość ołówka stanowi gwarancję najwydatniejszej pracy, jakiego gatunku papier i jakiego koloru okulary korekcyjne potrzebne. Zeby nie popaść w drobiazgowo ważenie elementów pisarskiej kondycji, spróbujmy rozpocząć i skończyć na pytaniu najważniejszym. Czego trzeba literaturze?

Przede wszystkim pisarzy — utalentowanych, odważnych i traktujących serio, w wymiarze pozamaterialnym, swoje szczególne samopowołanie. Jest to warunek w ogóle pisarstwa trwałego, powstającego bez względu na doraźne oceny, doraźne niepowodzenia i doraźne społeczne czy polityczne cele, pisarstwa po prostu rzetelnego i odważnego. Pisarstwo nieśmiałe, świadome swojej nieśmiałości i stosowania uników, jest pisarstwem niemoralnym. Jakkolwiek tej konstrukcji językowej szczególnie nie lubię, pisarz działa na społeczne zamówienie. Formulowanie jednak tej prawdy w kategoriach szczegółowych decyzji i preferencji, w kategoriach utylitarnych pozaliterackich i jednocześnie pozaspółecznych powinności prowadziło zawsze literaturę na bezdroża. Podczas kiedy doraźne potrzeby po krótkim czasie znikają, a społeczeństwo steruje ku nowym potrzebom żądając ich bezwzględnej zaspokojenia, ale nie zawsze przecież pisarskiej afirmacji,

(Dokończenie na str. 3)

Gastromomiczne rewiry

Tadeusz Graba



— I pan ma czelność coś zamówić?

Rys. L. Szalecki

WSZYSTKO można wytłumaczyć i usprawiedliwić. Pewien publicysta wytłumaczył kiedyś stu tysiącom czytelników swojego tygodnika, że w socjalizmie nigdy nie doczekamy się uprzejmej obsługi kelnerskiej, jako że zawód ten, tradycyjnie oparty na usługowości, pozostaje w zasadniczej opozycji do naszego ustroju równości społecznej. Kelnera, wykształconego na hasłach rewolucji francuskiej, ma prawo krew zalać na widok nieznajomego gościa, który nie wiadomo z jakiego powodu oczekuje powitania i szybkiego dostarczenia posiłku. Ratując swoje człowieczeństwo, kelner ignoruje jegomościa, każdym swym gestem dowodzi, że wyświadcza mu łaskę. Albo, jeśli owej świadomości człowieczeństwa towarzyszy lekka nerwowość, demonstruje lachowci partnerstwo bijąc precyzyjnie między oczy ciężką dłońią człowieka pracy.

Tłumaczenie takie, osadzone w szerokiej perspektywie psychologii społecznej, byłoby nawet do przyjęcia, gdyby nie zadziwiające przywiązanie kelnerów do zawodu. Sfrustrowani i przygnębieni poczuciem niesprawiedliwości dziejowej, rękoma i pomysłami czepiają się profesji tak rzekomo niewdzięcznej. Zresztą dotyczy to wszystkich pracowników gastronomii, których zachowanie zadaje kłam obiegowym i statystycznie sprawdzalnym opiniom o fluktuacji załóg krajowych zakładów przemysłowych.

W placówkach Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego w Lublinie — ograniczmy się do przykładów z tego terenu — szczególne przywiązanie do miejsca pracy ujawniają szefowie kuchni, kierownicy restauracji, barów czy kawiarni. Niektórzy z nich przepracowali w jednym zakładzie już pięć, siedem, albo i dziesięć lat, co pozwoliło im na scementowanie profesjonalne personelu i dokładne poznanie wszelkich możliwości wyzwalania indywidualnej inicjatywy, służącej dobru powszechnemu. Chodzi tu m. in. o kierowników restauracji „Wiejska”, „Śródmiejska”, „Europa”, baru „W-Z”, kawiarni „Lublinianka” oraz szefów ciastkarni w kawiarniach „Czarcia Lapa” i „Ratuszowa”.

Czyż to długoletnie przywiązanie do wybranej placówki zbiorowego żywienia nie przypomina miłości, omijającej wszelkie przeszkody, które bezduszne państwo piętrzy na jej drodze? Wiadomo bowiem, że w 1966 roku Ministerstwo Handlu Wewnętrznego wydało okólnik nr 25, zgodnie z którym m. in. kierownicy i szefowie kuchni nie powinni pracować w tej samej placówce ponad trzy — cztery lata. Tymczasem pracują, a dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego w Lublinie twierdzi, że nie zna zarządzenia o takiej treści, zna natomiast inne, zalecające okresową wymianę zespołów ze sobą współpracujących. Świadomość trzyletniej zaledwie kadencji na stanowisku kierownika zakładu — opinuje dyrektor — przeszkadzałyby ludziom w rzetelnej pracy. Dlaczego zatem MHW wydało tak nieżyłowy okólnik, nie licząc się z pracowniczą mentalnością? Ktoś tu jest źle poinformowany.

Zespoły zaś, owszem, wymienia się. Ba, byłoby nieprawdą twierdzenie, że nie zmienia się również kierowników zakładów i szefów kuchni. Kiedy kierowniczka restauracji „Pod Basztą” przeszła po dziesięciu latach pracy na stanowisko kierowniczkę „Wiejska”, zabrala ze sobą część personelu.

(Dokończenie na str. 5)

Buntownicy bez sił i programu

Romuald Wiśniewski



Fot. M. Gajewski

ZAWARTE w regulaminie imprezy hasło brzmiało: „Teatr studencki — współczesny i zaangażowany”. Program przewidywał 14 spektakli. W przeddzień zawiadomiono, że nie wystąpi Studio Prób Uniwersytetu Łódzkiego z „Paktem”. W ostatnim tygodniu zmienił coś w swo-

im wystąpieniu, nie uzyskali na to zgody opiekunów teatru, wrócili do poprzedniej wersji, nie wyszło, jak należało, więc ich wycofano. Tak w każdym razie tłumaczono prasie. Z nie wyjaśnionych dokładnie powodów nie przybyła ekipa Studen-

(Dokończenie na str. 8)

Literatura

Stanisław Dygat ukończył monodram „Dworzec w Monachium” — rzecz o sprawach polskich. Kochać także powieść „Dla młodzieży wzbronione”, którą wyda „Czytelnik”.

Wkrótce ukazuje się tom opowiadań groteskowo-fantastycznych i naukowych Stanisława Lema, w którym autor debiutuje jako rysownik.

Leon Wantula, którego ostatnia książka „Romans Luizy” szybko znikła z półek, pracuje nad powieścią „Po drzewach cisza”.

Radzieckie wydawnictwo „Progress” wydało tom 3 opowiadań Stanisława Dygata. Następnym tomem polskiej serii będzie „Alchemia słowa” Jana Parandowskiego.

W Japonii ukazały się już dwie książki dla dzieci polskich autorów: „Ferdinand wspaniały” L. J. Kerna i „Akademia pana Kleksa” J. Brzechwy. W przygotowaniu „Proszę stonia” Kerna.

Bez echa w naszej prasie minęła w grudniu 150 rocznica urodzin Gustawa Flauberta, autora głośnej „Pani Bovary”.

Duńskie towarzystwo miłośników języka i literatury podjęło się wydania 10 tomów pamiętników znakomitego bajkopisarza Hansa Christiana Andersena.

Teatr

Jury XI konkursu debiutu dramatycznego Teatru Akademickiego postanowiło nie przyznać żadnej nagrody autorom 43 nadesłanych prac, a tylko dwa wyróżnienia.

Teatr „Wybierz” z okazji 25-lecia wystawił po raz drugi „Hamleta i Orchideę” Tadeusza Gajdę — sztukę, którą zamierzano wykonać przed 25 laty. Teatr posiada scenę główną w Gdańsku i kameralną w Sopocie.

Nakładem PIW ukazała się książka Józefa Szczubelkiego „Żywot Osterwy” — utrzymana w charakterze opowieści kronika życia i działalności wielkiego aktora i reformatora polskiego teatru.

Ewa Starowiejska przygotowuje oprawę scenograficzną „Revizora” Gogola dla teatru w Zurychu. Kazimierz Dejmek będzie reżyserował w Essen „Historie o Chwałebnym Zmarłych-wstaniu Pańskim”.

Sztuka

Pod adresem Komisji Ekspertów, opracowujących raport o stanie oświaty, ZPAW przesyła projekty reaktywowania liceów sztuk plastycznych.

Na IV międzynarodowego biennale grafiki w Krakowie, które zostanie otwarte w połowie maja, nadesłano kilka tysięcy prac z 50 krajów, w tym po raz pierwszy m. in. z Filipin i Kolumbii. Jury dopuścił na wystawę około 1000 prac.

W roku ub. rzeszowskie Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało 106 ekspozycji wystawowych, w tym 29 międzynarodowych. Wystawy ekspozycyjne w 27 miejscowościach województwa.

W wielu miastach Brazylii ekspozycyjna była wystawa polskiego plakatu.

Po 3 latach prac konserwatorskich w Wenecji 600 dzieł sztuki odzyskało swój pierwotny blask, 100 tysięcy stron książek powróciło do bibliotek. Dalsze prace trwają.

We Włoszech co roku lupem złodziei pada około 2 tys. różnych przedmiotów o wartości artystycznej.

Jedno z największych muzeów amerykańskich National Gallery of Art w Waszyngtonie po wieloletnim oporze zdecydowało się wprowadzić do swych zbiorów sztukę współczesną. Metropolitan Museum w Nowym Jorku zrobiło to także dopiero przed 3 laty.

W Nowym Jorku obchodzone uroczyste 40-lecie Muzeum Teatrolologicznego przy Bibliotece Publicznej, które posiada najbogatszą na świecie kolekcję z tego zakresu. Ale natychmiast po oficjalnych uroczystościach urządzono aukcję wielu cennych eksponatów, aby zdobyć środki na dalsze utrzymanie tej placówki.

Muzyka

W Krakowie odbywa się IX Ogólnopolski Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich.

Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach w roku ub. wykonała 146 utworów muzyki klasycznej i współczesnej. W radio było ponad 460 audycji, które łącznie trwały 96 godzin.

W Kaliszu odbył się festiwal współczesnej muzyki młodzieżowej z udziałem 42 zespołów amatorskich.

Filarmonia wrocławska instaluje u siebie koncertem 2 mln zł nowoczesne studio nagrania dźwiękowych, które będą mogły wykorzystywać również teatry, film i telewizja.

21 grudnia ub. roku minęło 100 lat od prapremiery słynnej opery Verdiego „Aida”. Prapremiera odbyła się na scenie teatru kedywa egipskiego Izmah-Passy. Opera miała być gotowa na otwarcie Kanalu Sueskiego w listopadzie, ale przesłane z Paryża dekoracje spłonęły się i na otwarcie wystawiono „Rigoletto”.

Kompozytor brytyjski Benjamin Britten pisze operę, opartą na książce Tomasa Mauna „Śmierć w Wenecji”.

Film

W tym roku wejdzie na nasze ekrany 180 nowych filmów fabularnych, w tym 23 produkcji polskiej.

Jerzy Skolimowski zrealizował trzeci film za granicą — „Król, dama walet”, w którym gra m. in. Gina Lollobrigida.

Andrzej Kondratiuk realizuje współczesny dramat społeczno-obyczajowy „Święta rodzina”. Obok aktorów gra student duński studiujący w Polsce, który najpierw przypadkowo znalazł się na planie.

Wkrótce odbędzie się prapremiera światowa filmu „Satysfakcja” nakręconego przez Richarda Burtona, który w

tym filmie gra główną postać — Józefa Broz-Tity. Nad rzeką Sutjeska w lipcu 1943 roku rozegrała się krwawa walka partyzantów jugosłowiańskich z wojskami hitlerowskimi, włoskimi i rodzinnymi faszystami.

Różne

W okresie powojennym wrocławskie Ossolineum wydało 3337 tytułów. Wśród 100 stałych serii największym powodzeniem cieszy się istniejąca od 33 lat seria Biblioteki Narodowej. Książki Ossolineum zakupowane są stale przez 39 krajów.

W woj. szczecińskim co druga gronada posiada klub „Ruch” lub klub rolniczy, niemal wszystkie wyposażone są w telewizory, nie mówiąc o radiach. Prawie we wszystkich klubach pracują zespoły dziecięce.

W Horyczu Zdroju (pow. Lubaczów) zakończono odbudowę XVIII-wiecznego teatru dworskiego na uzdrowskiemu dom kultury.

Minęło już 13 lat od chwili nadania pierwszego odcinka powieści radiowej „Matyskiowie”. Jedni mają już dość, inni zachęcają autorów, aby kontynuowali swoją pozytywną działalność. Po pierwszym odcinku nadeszły cztery listy do najwyższych władz państwowych, aby zakazały nadawania powieści, rzekomo przedstawiającej naszą rzeczywistość w zbyt ciemnych kolorach — chodziło o to, że calmiesielesny dochód Matyskiaków wyniósł 2500 zł.

Zamieszkała w stolicy Meksyku Wanda Rutillani-Falkowska, pochodząca z Torunia, ofiarowała 6 tys. dolarów na wzniesienie w stolicy tego kraju pomnika Mikołaja Kopernika. Warunki: pomnik musi być dziełem artysty z Polski.

Sienkiewicz nie był pierwszym, który opisywał obronę Częstochowy przed Szwedami. Korzystał on z pierwszego na ten temat opracowania (literackiego) pt. „Nowa Gigantomachia” pióra samego księdza Kordeckiego. Potem nieznanymi poetami napisali „Obłędnie Jasnej Góry Częstochowskiej”. Prace historyczno-literackie napisali w XVII w. Stanisław Kobylewski i Samuel Twardowski — ten ostatni wprowadził szereg postaci fikcyjnych.

Rząd Iraku postanowił odbudować z ruin Babilonu, miasto założone w połowie trzeciego tysiąclecia przed n.e.

Doroczne wielkie nagrody państwowe za rok 1971 otrzymali we Francji: Jean Cassou — pisarz i krytyk, Darius Milhaud — kompozytor, Jacques Lemarchand — krytyk teatralny oraz Pierre Courtin — grafik.

Betsy Drake Grant, drugorzędna aktorka i przez długi czas żona Gary'ego Granta, wydała powieść o dziesięcioleciej dziesięcioletniej, opartą na momentach autobiograficznych. Krytycy ocenili powieść niezwykle wysoko.

Pewne wydawnictwo w Brukseli otrzymało w niedziele maszynopis powieści Wiktora Hugo objętości 19 arkuży. W poniedziałek tekst złożono, w nocny oprawiono, a we wtorek książka ukazała się w sprzedaży.

Lubliniana

Na zlecenie Dyrekcji Inwestycji Miejskich opracowywana jest dokumentacja na zastralowanie nadajnika, umożliwiającego przekazywanie mieszkańcom Lublina II programu telewizyjnego. Ma to być możliwe w drugiej połowie 1973 roku.

W perspektywie przewidziane jest utworzenie w Puławach muzeum środkowego Połissia, we Włodawie Pałajezra Łęczyńskiego-Włodawskiego, a w Naleczowie jeszcze jednego: muzeum miasta i uzdrowskiego.

50 placówek uczestniczyło w zeszłorocznym konkursie na najlepszy klub wiejski w województwie. Pierwsze miejsca zdobyły kluby: w kategorii wiejskiej — Brzozowica Duża (pow. radzyński), w kategorii działających przy gromadzkich ośrodkach kultury — Tarnogród (pow. biłgorajski), wśród klubów przyzakładowych — Dębowa Kłoda (pow. parczewski).

Kazimierz Borowiec, od września aktor Teatru im. Osterwy, z wielkim powodzeniem występuje w monodramie „A jak królem, a jak katem będziesz”, który jest sceniczną adaptacją tekstu portyckiego Tadeusza Nowaka z Krakowa.



Carolee Noe laureatka jednego z konkursów piękności.

Zanim „The Spirit of 76” wyląduje w Pekinie

PREZYDENT Stanów Zjednoczonych, Richard Nixon, ma gościć w Chińskiej Republice Ludowej w dniach 21—28 lutego. Jak wynika z informacji rzecznika Biąlego Domu, Zieglera, prezydentowi towarzyszyć będzie grupa 80 dziennikarzy amerykańskich. Jest to liczba prawie ośmiokrotnie wyższa od liczby korespondentów, którzy dotychczas towarzyszyli innym szefom państw przy podróżach do Chin. Zdaniem Zieglera zgoda ChRL na wpuszczenie 80 dziennikarzy świadczy o tym, że władze chińskie wykazują dużą gotowość do współpracy i zdają sobie sprawę z bezprecedensowego zainteresowania, jakie podróż Nixoną wzbudziła w USA. Jeśli weźmie się pod uwagę — oświadczył Ziegler — że Stany Zjednoczone nie utrzymują z ChRL stosunków dyplomatycznych i żaden dziennikarz amerykański nie jest akredytowany w Pekinie, ta decyzja władz chińskich jest „bardzo doniosła”.

Dodajmy, że przebieg wizyty będzie mógł być na żywo transmitowany przez telewizję, dzięki zaistnieniu przenośnej stacji nadawczej, przekazującej sygnały za pośrednictwem satelity łącznościowego.

„Podróż do Chin to jak wyprawa na Księżyc” — oświadczył Nixon w wywiadzie dla przedstawicieli tygodnika „Time”. Prezydent USA lubi przesadzać, nie mniej warto zwrócić uwagę na studium przygotowane przez American Enterprise Institute and The Hoover Institution: „O problemach, w obliczu których stanie prezydent Nixon podczas swej podróży pekińskiej”. Podróż ta — zwracając uwagę autorzy studium — jeżeli przyniesie choćby umiarkowany sukces, musi wywrzeć korzystny wpływ na kampanię prezydencką, zapewniając Nixonowi zwycięstwo. Z drugiej jednak strony każdy nieostrożny gest Nixoną może zapoczątkować reakcję łańcuchową o nieobliczalnych konsekwencjach. Nixon powinien sobie zdawać sprawę, iż to żadnym wypadku nie wolno mu podejmować decyzji, które w taki czy inny sposób świadczyłyby, iż pragnie wykorzystać sprzeczności istniejące między ZSRR a ChRL. Jakkolwiek dolewając ołowiu do ognia może jedynie zalewać i tak słabą strukturę stosunków między trzema supermocarstwami. Poprawa stosunków z Chinami nie mogłaby zrehabilitować pogorszenia się stosunków ze Związkiem Radzieckim — przynajmniej w oczach amerykańskiej opinii publicznej, na której tak zależy prezydentowi Nixonowi.

Tymczasem, jak informują dzienniki zachodnie — w Pekinie trwa wielka akcja usuwania wszelkich napisów antyamerykańskich.

Nie mamy zamiaru z góry zajmować się w tym materiale politycznymi reperkusjami wizyty prezydenta USA w ChRL. Zapewne wrócimy do niej, kiedy będą znane wyniki różnorodnych komentarzy prasowych. Już dziś jednak można powiedzieć, że decydując się na przyjazd do Pekinu Nixon — niezależnie od intencji, jakim się kierował — jednym pociąganiem obalił obowiązuje od przeszło 20 lat dogmat partii republikańskiej odznaczający się od wszelkich kontaktów z Chinami Mao Tse Tung. To posunięcie, gdyby je traktować jako zwycięstwo realizmu politycznego, zasługiwałoby na aprobacie. Ale wizyta w Pekinie — zwłaszcza gdy znany rozbił się posunięcia przywódców ChRL w międzynarodowym ruchu robotniczym — również dobrze może służyć wzmożeniu napięcia na arenie światowej. Jakkę charakterystyczny jest tu fakt, że Chiny Ludowe nie potępiły ostatnich bombardowań Wietnamskiej Republiki Demokratycznej przez bombowce USA. To milczenie — w świetle zapowiedzianej wizyty — jest nadzwyczaj wymowne.

Ale — podkreślamy — wstrzymujemy się na razie z szerszym komentarzem na ten temat. Zajmiemy się natomiast wyglądającą chwilami wprost groteskowo sprawą techniczną przygotowania wizyty prezydenta USA w Chinach. Ciekawy materiał na ten temat zamieściło czasopismo „Parade”, tygodniowy dodatek do dziennika „Washington Post”.

Gdy Nixon — stwierdza „Parade” — przybędzie do Pekinu, podjęte zostaną najsurowsze posunięcia w dziedzinie bezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek przygotowane dla szefa państwa. Dla wielu Amerykanów pewną niespodzianką może stanowić fakt, że Secret Service polega w dużej mierze na swym chińskim odpowiedniku. „Chińczycy znakomicie z nami w tej dziedzinie współpracują” — oświadczył jeden z członków przedstawicieli amerykańskiej służby wywiadowczej.

Wiele szczegółów dotyczących posunięć ochronnych, uzgodnionych między Secret Service a pekińską służbą bezpieczeństwa, otoczonych jest tajemnicą, ale pewne rzeczy można ujawnić.

Poprzedzając wizytę przygotowania na polu bezpieczeństwa, nie są w swym zasięgu ograniczone do ulic, którymi Nixon z towarzyszącymi mu osobami będzie przejeżdżał przez stolicę Chin, lub też do gmachów, w których się zatrzyma; obejmą one cały świat. Już od sierpnia, kiedy to dramatyczna zapowiedź przyszłej podróży amerykańskiego prezydenta zaskoczyła opinię światową, amerykańscy i chińscy eksper-

ci z dziedziny bezpieczeństwa potajemnie sprawdzają — i to wielokrotnie — wszystkie rzeczy i wszystkich ludzi, z którymi Nixon może się zetknąć, poczynając od wody do picia, aż do osoby windziarza w domu, gdzie prezydent zatrzyma się w Pekinie.

Nixon odbędzie podróż z Waszyngtonu na Wyspę Guam na pokładzie samolotu „The Spirit of 76”, pilotowanego przez doświadczonego oficera lotnictwa, ptk. Ralpha Albertazze, który ma już za sobą jedno lądowanie w Pekinie, gdyż 29 października zawiózł do stolicy Chin doradcę prezydenckiego, Henry Kissingera. Samolot prezydencki, typu 707, mający zasięg 7 tys. mil, 11-osobową załogę i miejsce dla 99 pasażerów, przelieci następnie z Guam do Szanghaju, gdzie na ostatni etap lotu weźmie na pokład mówiącego po angielsku nawigatora chińskiego.

Piki Albertazze nie ma żadnych zastrzeżeń do zawodowych kwalifikacji nawigatora, tego samego, który towarzyszył mu do Pekinu przy okazji lotu z Kissingera. Piki amerykański powiedział do przedstawicieli „Parade”: „Byłem nim zachwycony; jest to znakomity nawigator. Za międzynarodowe lotnisko w Pekinie posiada wszelkie niezbędne urządzenia, włącznie ze sprzętem elektronicznym...”

Wraz z samolotem prezydenckim przylecą inne samoloty amerykańskie, wśród nich odrzutowiec wojskowy cztery samoloty należące do Biąlego Domu. Jednym z nich będzie opancerzona limuzyna marki Lincoln, którą Nixon zawsze jeździ zarówno w kraju jak i za granicą.

Na lotnisku samolot prezydencki będzie bez przerwy strzeżony przez żandarmerię lotnictwa amerykańskiego i chińskie oddziały wojskowe, podobnie zresztą jak benzyna dla wszystkich samolotów USA i dla samochodów Biąlego Domu. Chińczycy dostarczą cały zapas benzyny na lot powrotny, to znaczy 24 tysiące galonów, ale każdą kroplę będzie się sprawdzać i przepuszczać przez filtry, zanim wejdzie się ją — pod okiem strażników — do zbiorników paliwa. Takie same środki ostrożności stosuje się, gdy „The Spirit of 76” startuje z lotniska znajdującego się w USA.

Trasy, którymi prezydent Nixon będzie przejeżdżał z lotniska, oraz na różne spotkania oficjalne i przyjęcia w stolicy Chin, są nadal utrzymywane w tajemnicy i nie ujawni się ich zapewne aż do ostatniej chwili. Ale przed przybyciem Nixoną agenci Secret Service we współpracy ze swymi chińskimi odpowiednikami przejadą wiele, wiele razy tymi trasami, aby dokładnie zapoznać się z każdym centymetrem drogi. Dokona się inspekcji wszystkich wjazdów kanalowych na ulicach Pekinu, przez które przejeżdżać będzie prezydentka karawana i pokrywy tych wjazdów zostaną zaplombowane, aby nikt nie podłożył jakiegokolwiek materiału wybuchowego. Nawet słupy telegraficzne i telefoniczne na ulicach zostaną już w ostatniej chwili zbadane, aby ktoś nie zechciał ich przedziurawić niemal do końca i obalić na jezdnię, stwarzając niebezpieczną sytuację dla dokonania napadu. Ponadto, jak zwykło w takich wypadkach, chińscy agenci służby bezpieczeństwa będą obserwować dachy i okna wzdłuż całej trasy.

Jeśli plany pobytu przewidują, że Nixon ma wejść do jakiejś windy, to Secret Service pragnie, aby Chińczycy sprawdzili nie tylko sprzęt mechaniczny, ale również osobę windziarza. „Nie może być nic bardziej przerażającego — oświadczył pewien doświadczony agent służby bezpieczeństwa — niż gdyby prezydent został unieruchomiony w tak szczyptym pomieszczeniu, jakim jest winda, zwłaszcza gdyby się okazało, że windziarz żywi wobec niego nieprzyjazne zamiary”.

Cała amerykańska delegacja wraz z prezydentem będzie miała w czasie swego pobytu w Pekinie własny zapas wody i to nie dlatego, by istniały jakiegokolwiek powodów wzbudzające podejrzliwość wobec jakości wody chińskiej, ale z tych samych przyczyn, dla których wszyscy doświadczeni podróżnicy niechętnie piją wodę, do której nie są przyzwyczajeni (tak kulturalnie formuluje to „Parade”).

Gdziekolwiek udaje się prezydent USA w epoce pekińskich międzykontynentalnych — musi on mieć możliwość utrzymania kontaktu ze swym punktem dowodzenia w Waszyngtonie przy pomocy podniesienia słuchawki telefonicznej. W przypadku Pekinu stwarza to specjalny problem, gdyż USA nie mają w stolicy Chin ambasady. W rezultacie takiej sytuacji istnieje plan założenia specjalnego ruchomego sprzętu radiowego. Rozmowy prezydenta będą drogą elektroniczną natychmiastczytowanie i przekazywane dalej. Niezależnie od ultranowoczesnych kanałów elektronicznych Nixon będzie informowany na bieżąco o tym, co się dzieje w świecie przy pomocy depezy przywożonych przez samoloty kurierskie, które w czasie jego pobytu w Pekinie, lądować tam będą przynajmniej raz dziennie.

Dodatkowy problem dotyczy... prasy. Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo prezydenta nie niepokoją się amerykańskimi i zagranicznymi korespondentami, akredytowanymi w Waszyngtonie, którzy będą towarzyszyć Nixonowi (są oni dostatecznie sprawdzeni), ale sen im spędza z oczu ewentualna inwazja reporterów z różnych krajów świata, którzy mogą w tym czasie przejechać do Pekinu. Wszystkie aparaty fotograficzne zostaną zbadane. „Sprawdzenie” każdego z tych korespondentów jest gigantycznym zadaniem CIA. Można być przekonanym, że w tej masowej akcji bezpieczeństwa udzielają pomocy i sami Chińczycy.

„Nikt z „Kameny” do Pekinu się nie wybiera. Bylibyśmy jednak bardzo ciekawi, jakby nas ocenili agenci CIA...”

(mj)

„U TRWALONY przez UNESCO oświadczył oddawania cześć wielkim pisarzom sprawiła, że rok 1972 stał się rokiem „ukraińskim”. W tym bowiem roku przypadał pięć jubileuszy wybitnych twórców ukraińskich, a mianowicie: Lesi Ukrainki, Wasyli Stefanyka, Ahanatiana Krymskiego, Mykoły Woronego i Lesia Martowicza, od których narodzin dzieli nas lat sto” — pisze S. Kozak w 1 numerze kwartalnika wydawanego przez Komitet Słowaoznawstwa PAN „Młwa Orientalna” z 1971 roku.

Z wymienionych wyżej pisarzy najmniej znany, bo przez wiele lat nie wydawany, jest Mykoła Woronyj. A postać to w literaturze ukraińskiej ważna, ciekawa i dyskusyjna. Pisze o nim Z. Hunczaruk w esejju „Na przełomie wieków” w grudniowym numerze kijowskiego miesięcznika literackiego „Witczyzna”. Nazwisko M. Woronego rzadko się u nas pojawia, wymieniane jest mimochodem, gdy mówi się o modernizmie ukraińskim: „Dunt modernistyczny urodzony został najwyraźniej w twórczości M. Woronego, O. Olesia i poetów „Młodej Muzy” — stwierdza S. Kozak przy okazji przedstawienia epoki, w której tworzyła Lesia Ukrainka. „Woronyj, Oles i Filanowski zwracają bardzo dużą uwagę na formalną stronę wiersza, studiują europejską poezję i dają niejednokrotnie arcydzieła liryczne” — tyle o nim w szkicu B. Lepkiego „Literatura ukraińska” zamieszczonym w IV tomie „Wielkiej literatury powszechnej”. Warszawa 1953. Warto wobec tego powiedzieć o nim kilka słów przy okazji jubileuszu, który minął w grudniu 1971 roku.

Urodzony w roku 1871 na terenie dzisiejszego obwodu Dniepropietrowskiego,

uczeszczał do szkół w Charkowie i Hosiowie. Bardzo szybko popadł w nielaskę miejscowych władz reżymu carskiego. Wyjechał więc za granicę. Studiował w Wiedniu i Lwowie. W roku 1897 wraca na Ukrainę. Pisze wiersze awangardowe. Zajmuje się teatrem, dostrzega w nim bowiem duże możliwości dla odrodzenia idei narodowych, dla pielęgnowania smaku artystycznego. W latach 1920—1923 przebywa w Warszawie i

zajmował jego twórczością i wkładem w literaturę ukraińską. To na razie dobry początek. Najbliższe lata powinny dać nowe oświetlenie i ciekawą rehabilitację jego dorobku literackiego.

W roku 1903 wydał M. Woronyj almanach „Znad chmur i nizin”. Była to jedna z pierwszych książek modernizmu ukraińskiego. Pragnął, żeby poezja ukraińska była bardziej oryginalna, miała „własną niezależną ideę, treść współczesną”, żeby w niej było „choćby trochę filozofii i majestatyczny kawałek czegoś dalekiego nieba błękitnego, co od wieków wabi nas swoim nieosiągalnym pięknością, swą niezłobioną tajemniczością”. Poezja M. Woronego „wycierała ciało”. Poezja M. Woronego poezję ukraińską, wpływał temu niegdyś nawet Paweł Tytusz.

M. Woronyj dał czytelnikowi ukraińskiemu piękne tłumaczenia Puszkina, Tutezowa, Niekrasowa, Wazowa, Daniego, Szekspira, Heinego, Verlaine’a i innych klasycznych literatury światowej próbował tłumaczyć również z języka polskiego. On też przelożył na ukraiński Międzynarodówkę, Marsyliankę i Warszawiankę.

Prowadził szeroka dyskusję z Iwanem Franką na łamach wydawanego we Lwowie czasopisma „Życie i słowo”; dotyczyła ona literatury i związanych z nią idei, formy i treści.

M. Woronyj zaprzyjaźniony był z Janem Kasprzowiczem i Andrzejem Niemcewiczem. Dalsze badania nad życiem i twórczością wybitnego przedstawiciela modernizmu ukraińskiego powinny przynieść bliższe dane o tych kontaktach oraz ich znaczeniu dla pisarza.

M. L.



Lwowie. Wraca na Ukrainę w roku 1926, występuje w prasie radzieckiej jako poeta, tłumacz i krytyk literacki. Po kilku latach opuścił Ukrainę wraz z synem Markiem, świetnie zapowiadającym się poetą. W ten sposób znikła z pola widzenia literatury ukraińskiej. Encyklopedia podaje, że umarł w roku 1942.

Dopiero po 30-letniej przerwie wydany został (w roku 1939) zbiorek jego „Poezji wybranych”. Od tego czasu zaczęto się

W 30 rocznicę powstania PPR

Z dokumentów

W 30 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej przypominamy niektóre dokumenty obrazujące działalność KC PPR z okresu, gdy najwyższe władze przebywały w Lublinie.

Z rezolucji KC PPR o sytuacji politycznej i zadaniach partii (26 września 1944 r.):

Klasa robotnicza, przodująca dziś klasa w narodzie, była i pozostaje organizatorem i motorem frontu narodowego. Wyrazem tego jest rosnąca aktywność mas robotniczych i pęd do organizacji politycznych, zawodowych, kulturalno-oświatowych, spółdzielczych.

Ten proces aktywizacji mas pociąga za sobą szerokie masy chłopskie, jak również poważną część inteligencji pracującej.

Masowy ruch wylaniania rad narodowych wciąga do bezpośredniego udziału w rządzeniu krajem setki tysięcy ludzi, wnosząc nową, demokratyczną treść do naszego życia politycznego i instytucji państwowych.

Dążeniem partii winno być zapewnienie radom narodowym istotnego wpływu na organa wykonawcze centralnego aparatu państwowego. Rady winny stać się podstawową metodą demokratyzacji władzy państwowej w odrodzonej Polsce. Urzeczywistnienie tego postulatu może być osiągnięte przez:

a) Ustawowe i faktyczne zabezpieczenie radom na wszystkich szczeblach funkcji kontroli społecznej w stosunku do organów wykonawczych państwa.

b) Nadanie radom terenowym prawa decyzji we wszystkich sprawach nie należących do kompetencji organów wykonawczych rządu (szeroki samorząd terytorialny).

Aby rady narodowe mogły wypełniać swe zadania i być rzeczywistym łącznikiem pomiędzy rządem demokratycznym i społeczeństwem — przedstawicielstwo w radach musi odzwierciedlać aktywność organizacyjną mas społecznych. Dobór członków rad narodowych winien przede wszystkim uwzględniać najczynniejszych bojowników z okresu walki z okupantem, przedstawicieli demokratycznych partii politycznych, czołowych działaczy ruchu zawodowego oraz robotniczych, chłopskich i inteligentnych organizacji społecznych.

W procesie tworzenia masowych organizacji robotniczych partia powinna zdobyć większość proletariatu, ogarniając świat pracy najemnej jak najszerszą siecią związków zawodowych, opartych o zasadę jednolici ruchu zawodowego robotników i pracowników.

Związki zawodowe i ich zrzeszenia winny stać się czynnikiem zabezpieczającym klasę robotniczą stale polepszanie warunków pracy i płacy, muszą stanowić jedno z najsilniejszych ogniw trwałości i rozbudowy demokratycznego systemu władzy w Polsce. System umów zbiorowych, rozbudowa sieci ubezpieczeń społecznych, wpływ związków zawodowych na produkcję zabezpieczyć muszą światu pracy najemnej należne mu prawa, bronić go będą przed samowolą pracodawców.

Związki zawodowe winny walczyć z korpucją, spekulacją, kradzieżami majątku społecznego itd., które głęboko zakorzeniły się w czasie okupacji w aparacie administracyjnym i gospodarczym.

Związki zawodowe winny zabezpieczyć sobie odpowiedni wpływ przy rozwiązywaniu zagadnień dotyczących najszerszych mas, np. aprowizacji, polepszenia warunków mieszkaniowych, podziału mieszkań w nieruchomościach znajdujących się pod zarządem państwa, względnie samorządu, pomocy ofiarom wojny itd.

Z instrukcji KC PPR o zadaniach organizacji partyjnych w przeprowadzeniu prac przygotowawczych dla podziału ziemi obszarnej (28 września 1944 r.):

„Partia nasza musi aktywnie uczestniczyć przy realizacji reformy rolnej. Wiadomości nadchodzące z terenu świadczą o tym, że nawet wśród niektórych urzędników powiatowych urzędów ziemskich i administratorów majątków, którym państwo zleciło właśnie wykonanie reformy rolnej, panuje dążenie do zwlekania i łamać je musimy my, wespół z wszystkimi uczciwymi ludźmi i robotnikami rolnymi oraz chłopami bezrolnymi i małorolnymi, przy pomocy i za pośrednictwem gminnych komisji reformy rolnej i komitetów folwarcznych.

W tym celu organizacje partyjne powinny:

a) Wszędzie tam, gdzie odbywają się wybory do gminnych komisji reformy rolnej, starać się o to, by w ich skład wybrani zostali tacy bezrolni lub małorolni chłopcy i robotnicy rolni, którzy będą wiernie strzegli w komisji interesów uprawnionych do korzystania z reformy i będą walczyli o całkowite i w terminie urzeczywistnienie dekretu o reformie.

b) Tam, gdzie komisje już istnieją — uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby stały się one rzeczywistymi ciałami wykonującymi kontrolę społeczną nad administratorami wyłączonego majątku i organami reformy rolnej, aby rzeczywistie w codziennej swej pracy broniły one ogólnona-

łowego mienia przed zmarnowaniem, walczyły o wykonanie w terminie, uczciwie i całkowicie wszystkich prac związanych z reformą rolną.

e) Przez cały czas trwania akcji reformy, aż do ostatecznego rozparcelowania ziemi, stale stawać na porządku dziennym zebranie wszystkich ciał partyjnych omówienie przebiegu akcji reformy rolnej w terenie, w miarę możliwości ze szczegółowym omówieniem położenia na kilku folwarkach na każdym posiedzeniu.

Na każdym posiedzeniu komitety powinny powziąć konkretne uchwały, co robić na poszczególnych folwarkach, i powierzyć wykonanie tych uchwał poszczególnym towarzyszom.

O przebiegu akcji reformy rolnej na swym terenie i o wszystkich wynikających w związku z nią sprawach i zagadnieniach organizacje partyjne powinny co dwa tygodnie składać pisemne sprawozdanie wyższym instancjom partyjnym.

Okólnik KC PPR w sprawie obchodu rocznicy proklamowania w Lublinie rządu ludowego w 1918 r. (25 października 1944 r.):

Do wszystkich komitetów i organizacji partyjnych.

Na dzień 6 listopada przypada rocznica proklamowania w Lublinie rządu ludowego pod kierownictwem Ignacego Daszyńskiego. PPS i Stronnictwo Ludowe, które brały udział w tym rządzie, występują z inicjatywą obchodów poświęconych rocznicy rządu lubelskiego.

Rząd lubelski był rządem demokratycznym i dlatego organizacje nasze powinny poprzeć inicjatywę PPS i Stronnictwa Ludowego, wziąć udział w komitetach i obchodach 6 listopada oraz wysłać swych mówców na te obchody. Powinny one jednak równocześnie choć w jak najbardziej taktownej formie, wyrazić nasze własne stanowisko w tej sprawie. W szczególności nasi mówcy powinni powiedzieć:

1) Rząd lubelski proklamował demokratyczne hasła, zapowiedział wprowadzenie demokratycznego ustroju państwa polskiego, przeprowadzenie reformy rolnej itd., dlatego bierzemy udział w obchodzie 6 listopada.

2) Rząd lubelski okazał jednak słabość w stosunku do reakcji. Wojsko oddał w ręce Rydza-Śmigłego, przedstawił klikę pilsudczykowskiej. Nie przeprowadził reformy rolnej. Bez walki skapitulował przed Piłsudskim i oddał władzę w ręce reakcji.

3) Dziś demokracja polska nie popiełni błędów rządu lubelskiego. Wojsko i Milicja Obywatelska są w rękach szczerych demokratów i nigdy więcej nie będą narzędziem pułkowników czy generałskich klik. PKWN realizuje reformę rolną, oddaje chłopu pańską ziemię. Tym razem reakcja nie wróci do władzy. Rząd lubelski ustąpił reakcji, a dziś reakcja musi ustąpić nam, ludowi polskiemu: takie musi być w treści swego zakończenia wystąpienie PPR-owców na obchodach 6 listopada. Dodatkowe materiały będą ogłoszone w prasie partyjnej.

4) Należy organizować obchody rocznicy powstania rządu lubelskiego wieczorem dnia 5 listopada.

Z okólnika KC PPR wydanego w związku z 27 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (25 października 1944 r.):

„Wszystkie organizacje partyjne mają obowiązek przeprowadzić w rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji w Rosji jak naj-

szerszą kampanią masową, nieść w masy narodu prawdę o wielkich zdobyciach socjalistycznego ustroju w ZSRR, o potęgę mocarstwa socjalistycznego, czołowego państwa bloku demokratycznego, o przyjaznej wobec narodu polskiego polityce ZSRR, o konieczności utrzymania w interesie Polski jak najbardziej przyjaznych sojusznich stosunków ze Związkiem Radzieckim. W toku kampanii należy demaskować wroga interesom państwa polskiego antyradziecką politykę polskiej reakcji, która chce skłócić koalicję antyhitlerowskiej i marzy o pobiciu Polski do wojny z bratnim narodem radzieckim.

Z okólnika KC PPR w sprawie ochotniczego zaciągu do Wojska Polskiego (listopad 1944 r.):

„Wielkie zadanie stojące przed Wojskiem Polskim oczyszczenia ziem polskich od niemieckiego okupanta wymaga od całego narodu maksymalnej pomocy w dziele wzmocnienia polskich sił zbrojnych.

Szczególne zadania stoją przed klasą robotniczą Polski jako czołowego oddziału narodu w walce z okupantem. Zadanie wzmocnienia Wojska Polskiego wymaga przede wszystkim oparcia armii na demokratycznym korpusie oficerskim.

Wychodząc z powyższego, konferencja partyjna (mowa o konferencji PPR ziem wuzwołonych, która odbyła się w Lublinie 12-13 listopada 1944 r.) postanowiła ogłosić ochotniczy zaciąg robotniczy do Wojska Polskiego — 10 tys. patriotów-ochotników, skierować ich do szkół oficerskich i podoficerskich. Podstawową część tego ochotniczego zaciągu powinna dać klasa robotnicza z przemysłowych ośrodków, a więc Praga 3 tys., Biały-Białostok 1 tys., Krosno 1 tys., Rzeszów 1 500, Lublin 2 tys., Kielce 1 tys.

Konferencja partyjna uchwaliła skierować do Wojska Polskiego 500 partyjniaków, którzy będą odkomenderowani do szkół oficerów polityczno-wychowawczych.

Komitety wojewódzkie wydziałają:
Lubelskie — 200 towarzyszy
Rzeszowskie — 100 tow.
Warszawskie — 70 tow.
Białostockie — 40 tow.
Kieleckie — 30 tow.
Warszawa-miasto — 60 tow.

Z odezwy KC PPR do ludności ziem nowo wyzwolonych (19 stycznia 1945 r.):

„Jutrzemka wolności przyszła do was od wschodu, zza Wisły, z terenów wyzwolonych już przed kilku miesiącami przez bohaterstwo i poświęcenie żołnierza Armii Czerwonej i naszego polskiego żołnierza. Przyszła z terenów, na których już od sześciu miesięcy naród nasz w atmosferze wolności buduje nową, demokratyczne państwo polskie. Przyszła z terenów, na których zlikwidowane zostały przez reformę rolną majątki obszarne i podzielone między chłopów. Przyszła z terenów, gdzie nie ma władzy karteli i trustów, które wyzyskiwały nieludzką pracę robotnika i inteligenta pracującego. Przyszła z terenów, na których zjednoczył się cały naród dla wspólnej odbudowy państwa, wspólnej walki z Niemcami, pod kierownictwem legalnej władzy państwowej — Tymczasowego Rządu Narodowego w Lublinie.

„Jeszcze panoszy się Krzyżak na ziemi polskiej, jeszcze topi kulturę polską. Nie ma dziś dla nas zadania pilniejszego niż wygnanie hitlerowców z naszego kraju. Wszystkie sprawy i waśnie muszą zniknąć wobec łez i krwi tych, co czekają jeszcze na wyzwolenie.

Czego trzeba literaturze?

(Dokończenie ze str. 1)

książki, które służyły owym doradczym, efemerycznym potrzebom i cełom, wypadają z czytelniczego obiegu niczym zęby mleczne. Potrzebne jest zatem rozeznanie, co jest chwilowe i spełnia jedynie chwilowe funkcje, a co trwałe i jak mówi Faulkner warte pisarskiej agonii i potu.

Dzieło literackie powinno być również zaangażowane. Postulat wobec literatury kraju socjalistycznego zasadniczy, tyle że dzieło literackie na pewno okaże się zaangażowane, jeżeli nie będzie się go sterować w kierunku bezpiecznych płycizn lub powielania w nieskończoność okupacyjno-partyzanckiej tematyki, albo jeśli nie będzie to okres szczególnie laskawy dla mówienia pełnym głosem jedynie o zagranicznych wojaczach, sztuce współczesnej i współczesnej miłości o stu podobnych twarzach. Mówiąc czy nie mówiąc przy każdej okazji o zaangażowaniu, wzajemny związek między pisarzem i społeczeństwem tak długo nie będzie fikcją, jak długo pisarz będzie społeczeństwem niezbędnym choćby w charakterze osobnika prowadzącego biuro pisania podań kierowanych pod adresem nie słyszanych ogłowi i urzędów do spraw pozamaterialnych. Życie współczesne każdego społeczeństwa rodzi owoch nie sły-

szanych z nazw komisji i administracyjnych postaw coraz więcej; skąd brak pewności, że to właśnie pisarz jest owym pośrednikiem i zwiadowcą, istniejącym, aby się w nich rozeznawać, rozszyfrowywać sznydy i rezultaty dociekań prezentować społeczeństwu? Zaangażowanie jest towarzyszeniem — odważnym, pokornym, służebnym i solidarnym — społeczeństwu i narodowi. Jeżeli jednak z zaangażowania uczynimy znowu synonim lojalności pisarza nie wobec społeczeństwa, ale biurokratycznego mechanizmu, odpowiedzialności nie przed czytelnikiem lecz urzędniczym kolującym nad piśmianym słowem z paragrafem i cyrklem, słowo to będzie słowem nie znaczącym nie ponad martwą uległość w niczym istotnym interesie — narodu, społeczeństwa i literatury.

Przez kilka tygodni śledziłem z zainteresowaniem odpowiedzi pisarzy na ankietę *Życie Literackie*. Z dużą satysfakcją w kilku przypadkach, częściej z zażenowaniem, nie mówiąc o tym, że z ogromnym niesmakiem, przeczytałem trzecie pytanie ankiety, którego szanująca się redakcja nie powinna była postawić ludziom uważanym za pisarzy, bo pytanie jest grubym nietaktem świadczącym o zwężeniu równowadze literackiego myślenia. Na temat swobody twórczej napisano wiele, w różnym czasie i pod różnymi szerokościami geograficznymi. Problem ten ma przede

wszystkim dla pisarza to znaczenie, że pozwala albo nie pozwala jego czytelnikom w normalnym chronologicznym trybie dodawać do istniejących przesłań książki pachnące jeszcze świeżą farbą drukarską. Psychologicznie rzecz biorąc zagadnienie swobody twórczej nie istnieje dla rasowego pisarza podległego w swoim działaniu realizacji własnej wizji świata, wizji współczesności i wizji spraw o najwyższym znaczeniu. Pisanie do szuflady może być nieraz wyliciem sensownym, natomiast odkładanie planów pisarskich to czysty absurd niszczący tkankę narodowej kultury oraz tkankę pisarskiego organizmu. Tropiąc za odpowiednim przykładem, należałoby sięgnąć co najmniej do Kopernika, który na szczęście nie odłożył ad calendarum Graecusa pisanego swojego dzieła niezgodnego z oficjalną kościelną kosmogonią. Konstytuowanie skomplikowanego mechanizmu kontrolnego jest bezsensownym absolutnym; mechanizm ten, zawsze olbrzymi, pochłania największą część duchowego paliwa niezbędnego dla utrzymania w ruchu lepszej części pisarskiego warsztatu.

Literatura wymaga pisarzy utalentowanych, odważnych i traktujących pisarskie samopowołanie w wymiarze pozamaterialnym. Wszelkie biurokratyczne przeszkody, dawno zauważył Bertold Brecht w swoim mądrym esej *O pięciu sposobach pisania prawdy*, można

wziąć talentem. Fakt, że pisarz żyje w społeczeństwie sterującym w stronę socjalizmu, nakłada na niego obowiązek szczególnego rodzaju i szczególną społeczną odpowiedzialność za słowo i punkt widzenia. Przykłady zaczerpnięte ze współczesnych nam literatur nieleżą dowodzą, iż więcej szkód swojemu dziełu, literaturze swojego kraju i społeczeństwu przyczynili nie ci, których odwaga i dalekowzroczność rzuciła w konfliktowe sytuacje, ale inni, zawsze gotowi przemienić pióro w rozpylacz lakieru i poizoty. Na pisarzu tutaj ciąży odpowiedzialność szczególna, sprawiająca, że spośród wielu niezbędnych cech najbardziej pożądaną jest odwaga. Okoliczność ta stawia go w jednym szeregu z politykiem. Choć nie podejmuje, jak ten drugi, doniosłych politycznych decyzji, myśleć musi społecznie i dalekowzrocznie. Pisarz, który w sobie nie ma nic z kamikaze, powinien stać na uboczu, a co najwyżej zbudować sobie wieżę z kłoci słonowej i w spokoju niewrażliwego sumienia, w stanie rozbratu ze społeczeństwem, pisać o efemerycznych perypetiach papierowych ludzi. Istnienie wewnętrznej swobody pisarskiej jest granicą, od której zaczyna się każde rzetelne piarstwo. Życie w odważnych czasach wymaga pisania odważnego. Bez tego nasze czasy nie dochrapia się godnej siebie literatury.

Pisarz działa na społeczne zamówienie, korzysta ze społecznego kredytu, którego nie może sprzenie-wierzyć. Nie wolno mu pisać o sprawach łatwych i błahych: sam sobie musi ustanowić próg, od którego liczy się jakikolwiek start, oraz pułap godzin w ogóle pisarskiego startu i trudu. Droga od startu do tego wysokiego pułapu biec musi wśród społecznych i politycznych realiów — jedynych składników społecznej prawdy. Realizacja zamówienia społecznego możliwa jest wtedy, kiedy społec-

zeństwo łąca od pisarza, aby owe prawdy dostrzegali i aby je uwzględniali w swoim dziele; wtedy również, kiedy każda część społeczeństwa respektuje to społeczne zadanie. Istnieje więc pojęcie współodpowiedzialności za tak rozumianą współczesną i zaangażowaną kronikę społecznego losu.

Kryterium prawdziwości jest kryterium szczególnym. Esencję piarstwa Faulknera — opatrzonego niesłusznie mianem kosmicznego pesymizmu, choć przecież wyrastała z głębi szczególnie spragnionej optymistycznych perspektyw. Faulknerowska negatywna egzemplifikacja sprawiała, że utożsamiano ją nieścisłością z brakiem jakiegokolwiek marginesu dla nadziei. Nieporozumieniem z ludzkiego punktu widzenia jest każde dzieło literackie, które jej nie ukazuje. Jest jednak różnica między nadzieją z pokryciem i nadzieją bez, podobnie jak istnieje rozróżnienie między rzeczywistością zastaną i postulowaną. Jak jednej nie można utożsamiać z drugą, tak nie można nadmuchiwać sztucznie skromnej nadziei. Pisarz, który stwarza oczywiste iluzje i widzi piękniej niż społeczeństwo, jest pisarzem chybionym, skazanym na brak odezwy bystrego czytelnika. Stonkski pisał w roku dwudziestym ósmym, że ile jest, kiedy literatura chodzi na czworakach przed państwem. Byłoby równie źle, gdyby literatura chodziła na czworakach przed rzeczywistością.

Mówię o literaturze znaczy mówię, dzięki jakim warunkom i narzędziom powstaje to, co się w niej liczy. W odpowiedzi na pytanie, czego trzeba literaturze, zawarta jest może i odpowiedź, czego w sferze pozamaterialnej potrzebuje pisarz. Tu bowiem inaczej niż gdzie indziej: pars pro toto.

Bogdan Madej

Musimy swą Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem
JAN POCEK

Zapole

Notujemy

Nr 1 (17)

30 I 1972

Rok VI

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Henryk Makarski

las

najprostsze najpiękniejsza
połączenie
zieleni z błękitem
krzyku
i
echa

śnieg

strzępy białych aniołów
które
w ogromnym kosmicznym gniewie
targają się za włosy

Romuald Falkiewicz

bal

nie nie widziałem
zaczarowanej dorożki
w środku pierwszej nocy
kiedy zszedł lekkim krokiem
śnieżny pan
dziewczęta rozbiły ciszę granatową
okrzykiem że biała

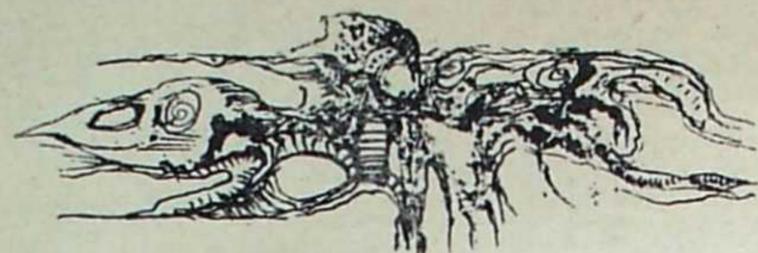
a u każdej w żrenicy zobaczyłem
suknię laszczącą się błyskiem

wyciągasz dłoń przed siebie
dłoń jak struna dźwięczną
muśnie o nią suknią bałem zwirowana
i bal trząśnie o sałę aż pogasną lampiony
tiki-tak tiki-tak tiki-tak

bucik piękny zgubiłaś panno z makrej bieli
oj odnajdzie cię król wicz nad ranem

a ja biedny włóczykij
wróźbita oślepiły iskry z ust twych wykrzeszę
na bal pójdę swój pierwszy
i zasiądę do skrzypiec

przypisany Teresie i Leszkowi



Rys. D. Opolski

Zdzisław Toczyński

Stawanie się ogrodu zwyčajnych drzew

kiedy zaczęłam się
o krawędź słowa
zaczęłam budowanie królestwa
miał być pałac i ogród
muru nie planowałam
gdyż nie lubię strażników
zbudowałam lepiankę przypadku
wtedy odwiedził mnie architekt
popatrzył zamyślił się
— wszystko takie nędzne i przyduszone
zniszcz spróbuj od nowa
widzisz powiedział ja wszystko rozpoczynam od pałacu
pałac od śpiących lwów lwy i fontanna
w naszych czasach obowiązuje specjalizacja
ja będę budowniczym pałaców
ty możesz pielęgnować ogrody chociaż to stare
tam śpiewały cudowne mądre ptaki o głosie czystym
i niepokojącym
— dobrze zgodziłam się
ale u mnie nie będzie tresury
w tym ogrodzie mogą przebywać ptaki dzikie i awanturnicze
glupie i leniwe
nie zarejestrowane w stacjach ornitologicznych
— utopia zdenerwował się architekt
życzę pomyślności
najpierw przejrzałam papirusy i pergaminy
stare szychy
podglądałam praktyków
później spaliłam wszystko
sadiłam drzewa zwyčajne
sosna brzoza świerk modrzew
czekałam na ptaka
przyleciał pierwszy nastroszony i podejrzliwy
usiadł na świerku
podskoczył kilka razy aż chrupnęło w gałęziach
gapił się na mnie
złym okiem spojrział na muchę
nie ma kamiennych lwów
fontanny
był ptak świerk mucha

Jerzy Jedziniak

* * *

śpijcie
noc pęka w głowie
szron sypie
aż sanna skrzypi
po omacku
księżyc sunie zalotnie
tangiem wspomnień
obok śpiącej Niedźwiedzicy
śpijcie spokojnie
świt czerwonym wzrokiem
tańczących budzi
w tęczę syrony wchodzą
próbują zbudzić sen
już idę
zanim noc
zanim

Stefan Pawłowski Proszę cię

gdy
kobiety dłoń
starości...
zmarszczoną
kopię ciała
dźwigać poczujesz
czoło równe
księżycowi zostanie
proszę cię —
ręką nie maź serca...

Adam Fiala

Myśli wybrane

I śmierć nie uwolni człowieka od
jego biografii.
Łakną krwi te idee, z których wy-
ciekła krew.
Fałszywi mesjasze unikają próby
krzyża.

Ryszard Kornacki

Wyobrażenia

Odchodzą ryby ze złotymi oczyma
Przychodzą ryby ze szklanymi oczyma
Odchodzą
Przychodzą
Ryby

Płetwami ocierają łuski z potu
Związany człowiek leży na dnie
akwarium
Wąskimi ustami chwytą resztki
powietrza
To ręce sprzedawcy pachną
Człowiekiem
Po ile kilogram?



Rys. D. Opolski

Dotarł do nas ostatni numer jedno-
dniówki „Ziemia Chełmska”, wydawanej
okolicznościowo staraniem Stowarzysze-
nia Miłośników Ziemi Chełmskiej. Wśród
utworów poetów chełmskich spotykamy
naszą koleżankę Stanisławę Buszę obok
Zbigniewa Strzałkowskiego, prezentują-
cego prozę i poezję. Longin Jan Okoń
opublikował zebrane przez siebie w ukła-
dzie alfabetycznym „Przysłowia ludu
chełmskiego”, w liczbie 139. Bogato pre-
zentowana jest również twórczość chełm-
skich poetów ludowych.

Lubelski Ośrodek KKMP zainauguro-
wał 11.X.ub.r. rok swej działalności
1971/72 wspólnym zebraniem (z udziałem
członków Koła Młodych i „Samsary”) w
Muzeum im. J. Czechołowicza w Lublinie.
W trakcie zebrania wiceprzewodniczą-
cy ZW ZMW, Mieczysław Janik, nakreślił
zadania w działalności kulturalno-
oświatowej Związku i Klubu, jakie wy-
tłaniają się na tle dyskusji przedzjazd-
owej. Uczestnicy zebrania wiele uwagi
poświęcili omówieniu form i metod pra-
cy w nowym sezonie. Następnie odbyło
się spotkanie z red. „Kamień” Mirosła-
wem Dereckim, autorem książek „Tro-
pem majora Hubala”, „Szlakiem Hubal-
czyków” oraz spektaklu „Sprawa majora
Hubala”.

Ostatnio Sekretariat KKMP wspólnie
z ZG ZMW nawiązały pozytywny kon-
takt z Wydawnictwem Lubelskim. Rezul-
tatem podpisanego porozumienia będzie
tomik poetycki rocznik dla członków
KKMP z czterech województw objętych
unią kulturalną — Lublina — Rzeszowa
— Białegostoku i Kielc.

Analizując działalność za rok ubiegły,
Lubelski Ośrodek KKMP zalicza do po-
zytywnych m.in. nawiązanie twórczych
kontaktów z KMPiK oraz Klubem Mł-
dziejowskim na Bronowicach, gdzie
organizowane były spotkania oraz wy-
stawy grafiki i rysunku naszych człon-
ków, jak również z Uniwersytetem ZMW
w Gardzienicach oraz Pałacem Mała-
chowskich w Puławach. Kontakty te
pragniemy kontynuować w roku bieżą-
cym, poszerzając je o współpracę z Za-
kładowym Domem Kultury FSC w Lubli-
nie.

18.XII.ub.r. odbyło się w „Domu Chlo-
pa” w Warszawie kolejne posiedzenie
Krajowej Rady KKMP z udziałem prze-
wodniczących Ośrodków. Przedmiotem
posiedzenia było dokonanie oceny dzia-
łalności KKMP w roku 1971, jak również
nakreślenie perspektyw działalności w
roku społecznym 1971/72. Podstawę dys-
kusji stanowiły wystąpienia kol. kol.
Andrzeja Gertowskiego, przewodniczą-
cego KR KKMP, oraz Edwarda Golebiow-
skiego, kierownika Wydziału Kultury
ZG ZMW, którzy na te kierunki poli-
tyki kulturalnej kraju po VI Zjeździe
Partii, nakreślili rolę i zadania twórców
z szeregu KKMP. Następnie dr Jacek
Kajtoch dokonał oceny i podsumowa-
nia dyskusji o KKMP, jaka od września
do chwili obecnej toczy się na la-
mach „Głosu Młodzieży”. Akcentem
kończącym posiedzenie był wieczór au-
torski poetów z ośrodka KKMP w Kato-
wicach: Andrzeja Zaka, Eugeniusza Haj-
duka, Bolesława Niezgody i Edwarda
Zymana, poprzedzony słowem wstępnym
Jacka Kajtocha. Wiersze czytali akto-
rzy scen warszawskich.

W trakcie posiedzenia Krajowej Rady
KKMP kol. Zdzisław Brudnicki poinformo-
wał zebranych o mającym ukazać się
nowym piśmie młodoliterackim. Robo-
czy tytuł pisma brzmi: „Nowy Wyrz”.
Wydawcą je będzie Wydawnictwo Mł-
dzieżowe „Iskry”. Będzie to 160 stron-
cowy miesięcznik formatu „Poezji”, bo-
gato i kolorowo ilustrowany, z dużą
porcją grafiki oraz wkładkami. Czytel-
nik znajdzie w nim obok prozy i poezji
— dramat, reportaż literacki, ese, pu-
blicystykę, przekłady, panoramę współ-
czesności, sywetkę miesiąca, kronikę ru-
chu artystycznego, debiuty młodych, re-
cenzie o autorach. Pismo ma ambicje
nawiązania kontaktu z czytelnikami, pru-
wadzić będzie poradnictwo m.in. lite-
rackie, a także organizowanie spotkań,
szeregów i młodymi. Skład redakcji
przedstawia się następująco: Jan Witan
red. naczk., Zdzisław Brudnicki i Tomasz
Burek, z-pcy red. naczk., Krzysztof Ka-
rask, Jarosław Markiewicz, sekret. red.
Ponadto pismo posiadać będzie kolegium,
radę redakcyjną, zespół konsultantów
oraz korespondentów terenowych. Pier-
wszy numer proponowany jest na luty
br. w zw. z mającym się odbyć w tym
miesiącu Zjazdem ZLP w Łodzi.

JeJ

ZSP opublikowało almanach programo-
wy z wypowiedzią Bohdana Urbankow-
skiego wotującego „O nowy roman-
tyzm”. Zamieścił w tym almanachu tak-
że kilka wierszy Mariana Kawalko z
Lublina). Wypowiedzi Urbankowskiego
drukowane były w kilku pismach. A
naszkicowane zamierzenia ciekawe!

W Lubelskim Kole Młodych odbyło się
zebranie sprawozdawczo-wyborcze, na
którym wybrano przewodniczącym Koła
kol. Stanisława Łukowskiego, a członka-
mi zarządu Mariana Kawalko, Walde-
mara Michalskiego i Stanisława Zurka.
KKMP-owcy idą więc w „siorę”. Gratu-
lujemy.

JeCh

Zapole Nr 1(17) redagowali:

Jerzy Jedziniak
Waldemar Michalski
Henryk Makarski

Ożoga widzenie ziemi

Waldemar Michalski

ZADZIWIAJĄCO konsekwentna w swojej
problematyce artystycznej
jest twórczość Jana
Bolesława Ożoga — poe-
ty i prozaka, członka
przedwojennej grupy „autentystów”,
którzy w swym piśmarstwie portreto-
wali głównie wieś, jej problemy i
naturalne uroki. Blisko sześćdziesię-
cioletni pisarz zdumiewa aktywno-
ścią sił twórczych i każde jego ko-
lejne dzieło potwierdza wysoką ran-
gę, jaką w naszej literaturze zajmu-
je autor m. in. niedawno wydanej
opowieści pt. „Cienie ziemi” (LSW
1970 s. 128).

Autentyzm, o czym warto pamię-
tać, przedstawiał fakty: kto, co,
gdzie? Unikał ich bezpośredniej in-
terpretacji, nie wnikał w problem:
„dlaczego?”. Taka postawa cechuje
też narratorsa „Cieniów ziemi”, na-
strojowej poetyckiej opowieści o
wydarzeniach jednego dnia na
przedwojennej polskiej wsi. Na tom
składają się 23 opowiadania, a w jed-
ną całość łączą je postacie bohate-
rów i chronologiczny układ niemal
filmowych obrazów z życia wsi.
Poznajemy problemy jej mieszkań-

ców, często tragiczne, a wszystko w
oprawie kwitnących ogrodów, doj-
rzewających jabłoni i świeżo sko-
szonego siana. Jak w Szymonowicza
sielankach, tak i tu przyroda wy-
pukła życiorys i sytuację, wprowa-
dza nastrój, paralelnie towarzyszy
czynom bohaterów opowieści. Rów-
nocześnie z sielakiem widzeniem wsi
narrator akcentuje fakty: niemal
drapieżne, dyktowane twardym, na-
turalnym prawem wiejskiej społecz-
ności. Jak w reymontowskiej wsi,
tak i tu motorem zasadniczym jej
działania jest witalizm. Umiłowanie
życia i miłość w naturalnej scenar-
rii piękna ziemi spotyka się tu z a-
poteozą.

Książkę czyta się z wyjątkowym
zaangażowaniem i szybko. Opowia-
dania są zresztą bardzo krótkie:
5—8 stronkowe. Fakty niemal ba-
nalne, impresje, nabierają specjalnej
wagi i wymowy. Ożóg jest także w
prozie poetą wsi.

Jak dowiadujemy się z informacji
na obwołanie książki, Ożóg, jako syn
organisty, przez jakiś czas przeby-
wał w seminarium duchownym. Dla
czytelnika książka jest to o tyle cie-

kawa wiadomość, że upewnia go
ona co do autentyczności przedsta-
wianych w książce realiów, szcze-
gólnie z życia plebanii i organistów-
ki. Bo akcja opowieści toczy się w
oplotkach księżycego gospodarstwa.
Należy zaznaczyć, że postać księdza
nie jest tu przedstawiona tenden-
cyjnie. Jest on jedną z postaci więs-
kiej społeczności a sutanna bynaj-
mniej nie zmienia faktu, że jest
również mężczyzną.

„Cienie ziemi” to tytuł niemal mó-
wiący. Piękno wiejskiego pejzażu i
może beztrudnie żywy wikarego to,
jak się wydaje, jedyne momenty
wiejskiej sielanki. Parobek, polli-
cjant, dziewczyna od krów, samo-
hójca, jakieś „laziaki” i „migłance”
(którzy okazują się jednak przy-
byszami z miasta) to postacie, za
pośrednictwem których narrator
sugeruje bynajmniej nie „różową”
rzeczywistość wsi. Obydwa te jej
oblicza stapia w swej twórczości O-
żóg w całość. I ta wieloraka w bar-
wach i faktach taś fascynuje od
40 lat piśmarstwa jednego z najwybit-
niejszych współczesnych poetów zie-
mi i wsi Jana Bolesława OŻOGA.

W nr. 25 (484). „Kamery” z dnia 5.12.71 r. natknąłem się na artykuł M. Dereckiego pt. „Targowica i księża ogród”, gdzie autor m. in. pisze: „Tak powiada prezes Żukowski — w przyszłym roku robimy w Lubartowie rewolucję. W samym centrum miasta. I to połączenie starego z nowym musi dać nam Lubartów nowoczesny”.

Ponieważ to ja rozpocząłem „wojnę” o Rynek Lubartowski uważając, że dobudowywanie do istniejących w Ryнку zabytkowych kamieniczek budynków „dowiadujących się stylem i charakterem” (a więc nowych zabytków) jest — łagodnie mówiąc — anachronizmem, pozwoliłem sobie w tej sprawie zabrać głos i przestrzec wszystkich, którzy sądzą, że jeżeli wygrano bitwę, wygrana jest wojna.

Albo aby sprawę odpowiednio nasświetlić, trzeba poznać ją od początku. A więc fakty. Z początkiem 1968 roku otrzymałem w ramach Zakładu Projektowania „Inwestprojekt” w Lublinie zlecenie na zaprojektowanie uzupełnienia zabudowy Ryнку w Lubartowie jako kontrproponicji do opracowywanego równoległe w Miastoprojekt — Lublin projektu na ten sam temat. Wytyczne władz budowlanych PWRN i konserwatorskich były jednoznaczne: należało zaprojektować część zachodniego rejonu Ryнку I, w miejsce istniejących resztek drewnianej zabudowy, lokalizując tam budynki sklepowo-mieszkalne, które by „w obudowie bloku nawiązywały do układu i architektury zabytkowego Ryнку I”. Wytyczne precyzowały ponadto: kształt (rzut czyli plan) budynków (forma ściana, cięgiła i zagłębła), wysokość równą istniejącym zabytkowym kamieniczkom, dach spadzisty, w parterach sklepy, na poddaszach mieszkania.

Pojechałem zobaczyć „miejsce akcji”. Przejrzałem szkice. Nie mogłem wytłumaczyć sobie, jak można kazać projektować wycinek czegoś, co jest skończoną całością i to w dodatku dużej klasy zabytkiem, a nie zalecać, aby opracowanie objęło całość zagędnienia. Ze zdumieniem odkryłem, że plan ogólny zagospodarowania przestrzennego miasta — perspektywa 1985 r. (zatwierdzony!) i następnie plan szczegółowy tegoż (znów zatwierdzony!) bazuje tylko na dwuwymiarowych opracowaniach urbanistycznych. A już całkowicie sprzeciw wzbudziły we mnie wyżej wymienione wytyczne: jak można nakazać kształt, formę, wysokość projektowanych budynków, a nie nakazać np., aby przestudować historię miasta, poznać jego u-

kład przestrzenny, zapoznać się z istniejącymi (jeszcze, bo sypana się jedna po drugiej) zabytkowymi kamieniczkami Ryнку? A gdzie chociażby margines, na tzw. swobodę twórczą architekta, jego inwencje, zaangażowanie i... fachowość?

Zbuntowany, zrobiłem furę szkiców próbujących wykazać, że „urzędowo” obowiązująca droga projektowania jest niewłaściwa. Zbyt cenny jest zespół śródmieścia Lubartowa, dowodziłem, aby go „kawalkami” lepić, przy czym jedno się wybuduje — zobaczycie, czy tak nie będzie — znów coś się nie konserwo-

zieleni, stanu odrestaurowanych zabytków głównych (pałac, kościoły), 4) szkieletową inwentaryzację pierzei (ciągów ulicznych) ryńkowych (jak się okazało było to pierwsze tego rodzaju opracowanie dla Lubartowa), 5) rysunki z natury istniejących zabytków — i wreszcie koncepcje urbanistyczno-architektoniczne. Ogółem przywołam do Lubartowa (oprócz sterylizacji) 60 planów 100 cm x 70 cm oraz 5 rysunków (także wymiarów) perspektyw (jeden z nich publikowała „Kamery” przy wspomnianym wyżej artykule red. Dereckiego).

zagwarantują im fundusze na renowację i ciągłą konserwację. Wybucho burza. Nie widąc zwolenników projektu. Konserwator wojewódzki stawia veto, władze budowlane nie chcą słyszeć o zmianie zatwierdzonych planów, powołani koreferenci spoza Lublina projekt wręcz dyskredytują. Nawet znany z bezstronności inż. Dylewski z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej Lublina — przyznając, że opracowanie wskazuje na nieprzeczuwalny do tej pory problem rozbudowy malych miast Lubelszczyzny, zwłaszcza tych, które posiadają zabytki —

Usatysfakcjonowany, do zaangażowania i wysiłku projektowego dokładam pieniądze (wykonuję dodatkowe, konieczne dla „ruszenia” projektu, prace wartości 56 tys. zł, traktując je jako czyn społeczny). Więc jednak happy and? Pozorny, niestety, tylko pozorny. Jest koniec 1971 roku. „Inwestprojekt” — znana moja „wojna” (mają 4 lata) — daje do zrozumienia, żebym zajął się czym innym. Poza „Inwestprojektem” naturalnie. Mój projekt ma ew. kontynuować ktoś inny. Czy będzie miał tyle sił, chęci i... odwagi, co niżej podpisany?

Moja wojna o rynek w Lubartowie

wane przecież od lat zawali. I tak w kółko. Trzeba postawić taką koncepcję, aby raz zrealizować i mieć spokój na następne co najmniej 100 lat. (A można to zrobić szanując istniejące zabytki i dając im równocześnie szansę prawdziwej, realnej ochrony).

Trafiliem. Moje obawy podzieliłi ojcowie miasta, resztę zrobili szkice. Zawarliśmy układ: ja spróbuję opracować „swój” projekt, oni (tzn. ojcowie miasta Lubartowa) nie będą przeszkadzać, jeżeli zatwierdzą... To były właśnie prawdziwe początki wojny o Rynek Lubartowski. Wtedy zrozumiałem także, że jeżeli są takie serca i takie głowy, jak w Lubartowie, można, ba — trzeba ryzykować. A więc do roboty: nie pletonej, nie polecanej, wprost przeciwnie. Na własne ryzyko. Znalazł się jeszcze jeden „cichy” sprzymierzeniec: biuro projektowe. Kierownictwo daje mi wolną rękę (znów) z sakramentalnym „jeżeli” (jeżeli zapłać).

Kolejny wykonuje: 1) studia dotyczące historii miasta, 2) pobieżną ekspertyzę stanu technicznego istniejących budynków, 3) rozpoznanie warunków w terenie — układ sieci dróg, ciągów pieszych, istniejącej

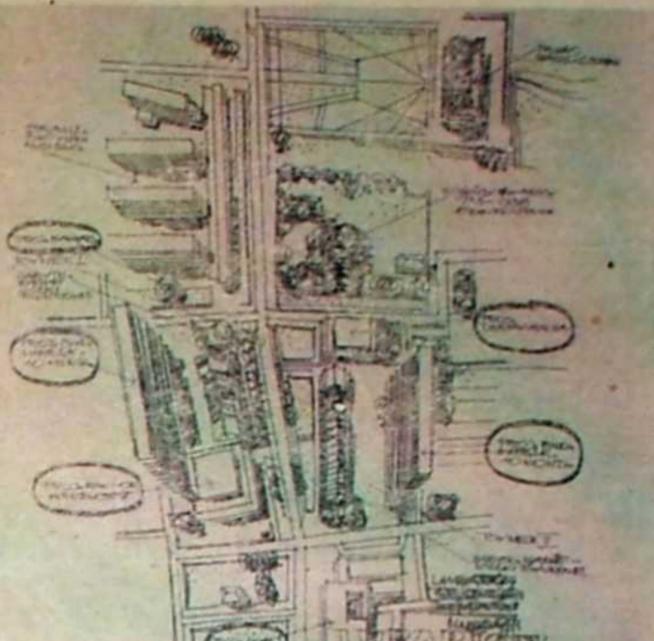
Rozwiązanie, do jakiego doszedłem, wydawało się proste (choć przyznając — może być uważane za kontrowersyjne): rozbudowę i modernizację śródmieścia miasta mają „załatwić” dwa wysokie (każdy po około 10 kondygnacji) budynki mieszkalne, zlokalizowane na „zapleczu” obu Ryńków, dwukondygnacyjny pawilon handlowy na działce, na której według wytycznych miałem zaprojektować wygięty w fałkę budynek sklepowo-mieszkalny — oraz budynek uzupełniający funkcje i ład przestrzenny śródmieścia (restauracja i dom towarowy).

Według tej koncepcji część zabytkowa jest jak gdyby dopełnieniem ram XX-wiecznej zabudowy, ta z kolei — staje się tłem dla barokowych kamieniczek. Przestrzennie wysoka zabudowa Ryńków wskazuje miejsce i kształt istniejącego centrum, praktycznie do śródmieścia wprowadza się jedną gwarantującą szybką realizację i całodobowe „życie” substancje mieszkalne. W takim układzie zabytkowe kamieniczki mogą służyć kawiarniami, czytelniami, bibliotekami, schroniskiem PTTK, muzeum regionalnym, klubem i małym, nieucielnionym sklepem, a więc od razu, z miejsca pełnić funkcje, które

najpierw je chwali, potem zmienia zdanie.

Tylko samo miasto opowiada się ciągle „za”. Mijają miesiące, dyskusje trwają, projekt wędruje na wystawę w Miedzeszynie (jesień 1968), omawia go miesięcznik „Domy Spółdzielcze”, jest prezentowany Przew. WRN Ryszardowi Wójcikowi.

Wreszcie 21 stycznia 1970 roku Wojewódzka Komisja Architektoniczno-Urbanistyczna przy Prez. WRN w Lublinie w obecności wszystkich zainteresowanych (w tym „konkurentów” z Miastoprojektu) ocenia pozytywnie koncepcję... „Inwestprojektu” autorstwa głównego projektanta mgr inż. T. Mycka (dyktownie przemilczając w protokole uczestnictwo w imprezie Miastoprojektu — Lublin).



Zatwierdzony projekt to wygrana bitwa, o wygraniu wojny można mówić po realizacji zadania.

Ostatnie wiadomości, jakie w sprawie Lubartowa docierają do mnie, zdają się potwierdzać me obawy: zapada decyzja budowy jednego budynku i tylko 5-kondygnacyjnego. To jednak nie to samo!

I tak już na marginesie: jak dziwne zachowują się w pewnych sytuacjach pewni ludzie: mój kolega — architekt z „Inwestprojektu”, który „kontynuuje” po mnie Lubartów — tak przejął się zadaniem, że nie tylko nie spytał mnie o zgodę, ale nawet nie raczył (bądź co bądź z autorem projektu) — porozmawiać ze mną w tej sprawie.

mgr inż. arch. T. Mycek
Warszawa

Gastro-nomiczne rewiry

(Dokończenie ze str. 1)

przywytarzającego do stylu Jej działalności. Również szef kuchni restauracji „Pod Fafikiem” zabrał z niej kilkoro pracowników do restauracji „Trojka”, w której objął odpowiedzialność.

Kierownicy z reguły lokują się w nowej placówce ze starymi kelnerami, bufetowymi i blokierkami — starymi nie tyle wiekiem, co liczbą wspólnie przepracowanych lat. Dla dobra. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych najlepsze wyniki osiągały trójki murarskie, symbolicznie uwiecznione w głóśnym obrazie „Podaj cegłę”, autorstwa późniejszego członka krajowej awangardy malarskiej. Nie gorsze rezultaty posiadają dziś trójki gastronomiczne i szkoda, że nie do strzeżenia ich żaden artysta.

Kierownika restauracji „Trojka” dostrzegła jednak milicja, osadzając go w areszcie tymczasowym. Zarzuca się mu grzech elementarny, prawdę mówiąc tuzinkowy, związany z zainkasowaniem od bufetowych 16 tysięcy złotych — w mamonie i alkoholu, tytułem tzw. haraczki za wolną rękę w przeróżnych manipulacjach. Powołując się na znajomości w Państwowej Inspekcji Handlowej, tenże pan miał przyjąć poza tym od bufetowych kombinatu losy premie PKO wartości 3 tys. zł — w zamian za obietnicę zastosowania niezbyt randomnych efektów kontroli PIH-u. Była to paskudna sprawa i pewna pani, w trosce o dobre imię gastronomii, zaczęła straszyć pracowników zwolnieniami z roboty, jeśli podział zeznał, że nie mówił prawdę i tylko przewodził. Ta pani miała staż. A gdyby nie miała, gdyby zaras po zawodowej szkole gastronomicznej trafiła do restauracji?

z kremem przebywa codziennie Jego żona, natomiast szwagier owego szefa kieruje restauracją „Pod Skarpą”, a żona sawagra szefa prowadzi sklep cukierniczy WPPG.

Czasami związki rodzinne zahaczają o powiązania służbowe, ale są to doprawdy przypadki sporadyczne, którym nie warto poświęcać większej uwagi, poza przypomnieniem, że zastępca kierownika działu rozliczeń Oddziału „Śródmieście” nadzoruje pracę szefa kuchni restauracji „Europa”, który jest mężem damskiego zastępcy, a referentka tego działu czuwa nad działalnością małżonka, pełniąc funkcję zastępcy szefa kuchni w restauracji „Astoria”.

Bezpośrednie powiązania rodzinne typu zwierzchnik — przelozony w gastronomii nie występują, twierdzi dyrektor WPPG, którego żona kieruje licznie odwiedzanym barem „W-Z”.

Gastronomia to w istocie rzeczy enklawa, na której żyźnej glebie pięknie rozkwitają dawne cechy rycerskie, tak dziś zaniedbywane przez młodzież i starsze pokolenie. Tu druh druha nie opuści w potrzebie, dłoń pomocną poda, siatką maskującą rannego przykryje i surowiec wstrzyknie. I tak na przykład, kiedy w wysokich instancjach zaczęto się zastanawiać, czy kierownik kadr Oddziału „Stare Miasto”, obdarzony siedmioklasowym cenzurem naukowym, zbyt często nie odwiedza lokali z wyszynkiem, gdzie w godzinach pracy strzela „po stowie”, po czym gronko beszta interesantów — wtedy właśnie któryś z dyrektorów WPPG wpadł na znakomity pomysł, przenosząc zasłużonego pracownika na inne stanowisko: kierownika restauracji „Lotos”, gdzie onże inkasuje dziś pobory o kilkakrotnie wyższe od otrzymanych na poprzednim etapie. Było nie było, fachowcy nie rodzą się na kamieniu.

Albo taka przypowieśćka obyczajowa: pewnego kierownika zakładu rękocześnie oddelegowano latem do produkcji lodów. Ale lody te nie wzbudziły zachwytu Państwowej Inspekcji Handlowej, która dopatrzyła się jakiejś niezgodności z obowiązującymi normami i wystąpiła do Kolegium Karno-Administracyjnego przy Prezydium MRN w Lublinie o ukaranie producenta. W tym dramatycznym momencie zastępca dyrektora d/s handlowych WPPG Oddział „Stare Miasto” polecił wydać zagrożonemu pismo stwierdzające, że znawcy lodów potrącony już 10-procentową premię, jako karę za

ujawnione machlojki. Dużo było śmiechu, kiedy Kolegium umorzyło postępowanie! Przecież pan F. całą premię otrzymał...

Kolejna historia zawiązała się w kwietniu, miesiącu skłonnym, jak wiadomo, do żartów. Wtedy kierownikiem działu produkcyjno-handlowego WPPG został pewien kuzyn pewnej kierowniczki restauracji. Już w maju spotkał go było można nad Jeziorem Białym, gdzie występował w charakterze ajenta restauracji „Rusalka”, tłumnie odwiedzanej przez letników. Skoligacony agent miał słabość do... lodów egzotycznej jakości i wagi czasu wojennego. Poza tym zatrudniał jakiegoś osobę, których Państwowa Inspekcja Handlowa na próżno szukała w ewidencji knajpy. Zatem PIH się zdenerwował i w protokole pokontrolnym wystąpił z wnioskiem do WPPG o ukaranie ajenta.

Błaha sprawa, lecz głupia sprawa, więc zastępca dyrektora d/s handlowych WPPG, człowiek cięższy się m. in. wdzięcznością byłego kierownika restauracji „Stylova”, rzutki organizator, odpowiedział PIH-owi, że zalecenie pokontrolne otrzymał 25 sierpnia 1971 roku, a umowę agencyjną rozwiązano z podmiotem 31 sierpnia, czyli nie ma już o czym mówić. Tymczasem po opuszczeniu „Rusalki” b. ajent powrócił na stanowisko... kierownika działu produkcyjno-handlowego WPPG, gdzie do dziś pracuje. Dla urozmaicenia obrazu warto dodać, że dział kierowany przez b. ajenta rozliczał z działalnością tego... ajenta, prowadzącego ową „Rusalkę”. To nie jest wcale skomplikowane, to jest malownicze.

W gastronomii ludzie czują się pewnie, czują się kooperatywnie, bo solidarność zawodowa stawiają na pierwszym miejscu. Jeśli nawet jakaś władza skarci za omijanie przepisów, zasad etycznych najogólniejszych i czysto zawodowych, to przecież rodzime przedsiębiorstwo wyrówna straty, pocieszy. Kogoś przenoszą z jednego stanowiska na drugie, bo na tym pierwszym zawiódł kompletnie, to na otarcie łez daje mu się 1800 złotych premii. Ktoś inny otrzymał zapomnienie, a zaraz potem takie same 1800 go pociesza. Gdy jeszcze kogoś następnego strofuja mocno i formalnie za marnotrawstwo, i to strofuja z wysoka, tylko 6-tysięczną premią może go uchronić przed kryzysem moralnym. Premia proporcjonalna do stanowiska.

Wszystko zależy od człowieka — przekonuje się dzieci w szkołach,

bo jest to jedna z tych prawd elementarnych, które sprawdzają się w życiu społecznym. Najlepszy mechanizm zatnie się w końcu, jeśli będzie go obsługiwał facet, który ma „obie lewe”. Ale mechanizm ten znacznie zgrzyta także w rękach najlepszego fachowca, jeśli ten pogwałci jego podstawową funkcję. Taką zasadniczą funkcją gastronomii jest zaspokajanie potrzeb cywilizowanego społeczeństwa w zakresie żywienia i rozrywki. Rzeczywistość zamienia tę funkcję na inną, nacelowaną na wykonanie planów finansowych przedsiębiorstw gastronomicznych, planów dość napiętych. Wykonuje się je nierządno kosztem jakości obsługi konsumenta. Albo się ich nie wykonuje, co z kolei do rzadkości nie należy (patrz na minutowe 2 miliony złotych Oddziału „Śródmieście” sprzed roku).

Gastronomia jest przy tym tworem przedziwnym, skłaniającym się do alienacji i swoistej niezależności od reszty społeczeństwa, z którego żyje, nie szanując go najmiej. Bo na jej właśnie terenie czynne są jedne z ostatnich w tym kraju kopalnie złota prywatnego. Klucze do nich spoczywają w rękach kierownictwa, lecz aby włożyć je do odpowiedniej „dziurki”, potrzeba pomocy niemal całego personelu. Sporo uczciwych ludzi zatrudnionych w gastronomii na kierowniczych stanowiskach ani spojry na te „wytrychy”, ale...

W Prokuraturze Wojewódzkiej spoczywają akta śledztwa w sprawie nadużyć popełnionych przez kilkunastu kierowników zakładów i szefów kuchni, spoczywają tak od roku 1968 i 1969. Zagarnięcie mienia społecznego na sumę ponad 120 tysięcy złotych, wystawianie fałszywych dokumentacji skupu plodów rolnych ze źródeł zdecentralizowanych na kwotę 121 tysięcy, fikcyjne kwitowanie przyjęcia towarów do kuchni na sumę ok. 150 tysięcy, manko o wysokości niemal 900 tysięcy i superata; ponad 900 tysięcy — to tylko wybrane przestępstwa, przedstawione we wspomnianych aktach.

Wszystko zależy od człowieka — przekonuje się dzieci w szkołach, bo jest to jedna z tych prawd elementarnych, które sprawdzają się w życiu społecznym. A poza tym wszystko można wytłumaczyć i usprawiedliwić...

Tadeusz Graba

DYSKUSJA nad kształceniem i pracą młodej kadry naukowej przewodzi do dalszych wypowiedzi. Zwraca się do spraw te, w obliczu dokonujących się w Polsce przemian związanych z rewolucją naukowo-techniczną, powinny zająć bardziej centralne miejsce w rozważaniach nad obecnym stanem atmosfery i stosunków panujących w środowisku naukowo-akademickim.

Podniesienie kwalifikacji i jakości kadry oraz wyzolenie inwencji zależne są przede wszystkim od wykształcenia umiejętności myślenia. Nie trzeba chyba udawać, iż jest ona konieczna nie tylko asystentom, adiunktom i profesorom uniwersytetu, ale także wszystkim absolwentom szkoły wyższej, niezależnie od tego, czy będą oni w przyszłości pracować naukowo lub nie.

Uczyć myślenia

Andrzej Zgorzelski

Wyżej wymieniony cel procesu dydaktycznego określałby chyba dość wyraźnie kierunek koniecznych zmian. Trzeba bowiem pamiętać między innymi, że student zawsze powinien pozostać przedmiotem tegoż procesu, a nie jego podmiotem. Stąd, w dbałości o owe podwyższenie jakości, celowe wydawałoby się przede wszystkim zwiększenie wymagań od studentów, zwłaszcza w zakresie samodzielności myślenia i w doborze zainteresowań. Przyjąłby też należało, iż podstawowym warunkiem wychowania doborowej kadry absolwentów jest selekcja jednostek, które z wielu względów po prostu nie nadają się na studia. Stopień magistra musi bowiem coś znaczyć, a w zgodzie z postulatami dyskusji, nie powinien oznaczać przeciętności.

Państwowej gospodarce i nauce na pewno nie przyniesie korzyści wielka liczba ludzi słabo wykwalifikowanych. Byłaby to polityka produkcji sierżantów bez sztabu generalnego i bez szeregowców. Uzyskanie dobrego fachowca zakłada przecież konieczność eliminacji fachowców przeciętnych. Z tą koniecznością trzeba się pogodzić jeśli postulaty o podniesieniu jakości absolwentów mają być realizowane. Eliminacja przeciętności musi być zawsze także i eliminacją pewnej liczby przeciętnych ludzi. Dobrze, jeśli większość z nich sprosta zwiększonym wymaganiom, lecz jeśli nie, to trzeba umieć pogodzić się z ich odejściem. Nie należy też sądzić, iż możliwe jest uzyskanie w obecnych warunkach jednocześnie wysokiej ilości i wysokiej jakości w procesie dydaktycznym. Dziś jakość jest chyba po prostu ważniejsza.

Sprawy to, zdawałoby się, szczególnie proste i rzutujące na wiele już problemów bardziej szczegółowych. Dlaczego na przykład mówiąc o malejącej atrakcyjności nauki, kładzie się nacisk głównie na polepszenie czynników materialnych? Autorzytet nauczyciela czy naukowca nie zależy chyba od wysokości pobieranej pensji. Zależy on głównie od zaangażowania człowieka w jego pracę. Stąd też chyba i kryterium doboru „płatowiczów”, jak ich określono w dyskusji, na stażystów i asystentów bywa kryterium zawodowym. Decydować tu powinna przede wszystkim chęć i możliwość podjęcia pracy naukowej przez kandydata, profil jego osobowości, zapewniający pracowitość, obowiązkowość, gotowość do daleko nawet idących poświęceń, ciekawość wobec otwierających się przed nim horyzontów.

Oczywiście, podniesione w dyskusji sprawy materialnego zabezpieczenia pracy naukowej są sprawami zupełnie podstawowej wagi, rzeczą tak normalną, iż wstyd o nich nawet wspominać. Ale podwyższenie zarobków nie poprawi jeszcze stanu nauki i nie zlikwiduje przeciętności. Brak mieszkań, które są warsztatem pracy, skąpe uposażenie, nadmierne obciążenie dydaktyką, zwłaszcza w przypadku młodych pracowników nauki — to po prostu sprawy do natychmiastowego załatwienia. Stąd przecież i pokusa do chałturzenia i serwilizmu stażystów i asystentów. Ale skutki te mają też swoją przyczynę tak w

przypadkowym doborze mało odpowiedzialnych ludzi, jak i w bardziej ogólnych założeniach.

Uniwersytet bowiem staje się z wolna placówką tylko dydaktyczną. Studentowi przekazuje się wiedzę podręcznikową, encyklopedyczną. Obecna mu jest metoda i technika pracy umysłowej i naukowej, obecna mu są zagadnienia najbardziej palące i naukowo najbardziej interesujące. Przekazuje mu się fakty z podanymi wzorami interpretacji zamiast uczyć go właśnie interpretacji i samodzielnego sprawdzania i szukania faktów. Studia wymagają wykućcia, a nie myślenia.

Rzućmy też i na kształcenie kadry uniwersyteckiej. Wymaga się od niej umiejętności kompilacji i streszczenia, a nie własnego, choć minimalnie twórczego wkładu w naukę. Z kolei streszczenia i kompilacji raczej się nie drukuje, a jeśli,

to w ten właśnie sposób powstają wspomniane w dyskusji prace „pseudonaukowe”. W tej sytuacji student odcierany jest od najnowocześniejszych osiągnięć nauki, nie pije z jej ożywczych źródeł, lecz chłpiec z porośniętego zitiłona rzęsa stawu. Stąd też spadek autorytetu „naukowca”. Wyjście, zdawałoby się, jest tylko jedno. Uniwersytet powinien być przede wszystkim placówką badawczą i tylko jako taka spełnić będzie mógł swe obowiązki dydaktyczne. Zbyt często już się bowiem zdarza, że ciekawiejszy student traci zainteresowanie nauką na wykładach docenta lub ziewa na seminariach.

Zbyt rzadko też bardziej bystry student czy magister samodzielnie dociera do materiałów. Jeśli się tak zdarza, to dojrzuwa on samotnie, nie mając po prostu nawet namiastki środowiska naukowego, zapewniającego mu daleko idącą swobodę poszukiwań i dyskusji na odpowiednim poziomie naukowym. Nie należy tu co prawda zapominać, iż uniwersytet musi się różnić metodami dydaktycznymi od szkoły średniej. Student powinien pracować samodzielnie, bo samodzielność konieczna mu będzie po ukończeniu studiów. A już nie do pomysłienia jest asystent, któremu brak samodzielnych pomysłów, samokontroli i chęci do pracy naukowej. Zadaniem samodzielnego pracownika nauki jest raczej sterowanie niż zmuszanie asystentów do badań, do pisania i drukowania. Ale uniwersytet musi kształcić zainteresowanie nauką. Prowadzenie własnych badań powinno być dla asystentów nie tyle obowiązkiem, co potrzebą wewnętrzną każdego z nich.

Rzućmy tu ogólne hasła: 1) ważna jest jakość nie ilość, 2) uniwersytet — przede wszystkim placówką badawczą, 3) naukowiec — to człowiek zaangażowany w naukę, 4) samodzielność młodej kadry i konieczność środowiska naukowego.

I parę postulatów jeszcze bardziej szczegółowych. Czy nie należałoby pomyśleć o likwidacji tzw. wykładów kursorycznych, streszczających i kompilujących podręczniki? Czy na ich miejsce nie warto wstawić odpowiednich ćwiczeń? Czy można byłoby wprowadzić do curriculum studiów zajęcia z metodologii badań danej dyscypliny, z techniki pracy badawczej, z zakresu teorii? Jeśli takowe są, czy nie warto byłoby ilość takich zajęć zwiększyć? Rzadko też trafia się zakład dydaktyczny, który ma tak mało pracowników, iż zamiast przestarzałego systemu opiekunów lat, nie może przejść na bardziej chyba racjonalny system opieki jednego naukowca (nawet magistra) nad niewielką liczbą studentów z lat III, IV i V. Taka stała opieka musiałaby chyba dać lepsze rezultaty niż często oficjalne tylko patronowanie nad poczynaniami całej grupy, zwłaszcza iż umożliwiłoby to obu stronom lepszą krystalizację zainteresowań naukowych.

Ale szczegółowe projekty zależą głównie od specyfiki kierunku studiów. Stąd mało dla nich miejsca w założeniach ogólnych. Od przyjęcia tych ostatnich zależy przecież przede wszystkim przyszły rozwój uniwersytetu lub jego dalsze zagłębianie się w przeciętność.

PLAGA

Andrzej Wąsek

W 1971 r. zaobserwować się dał wyraźny wzrost przestępczości w Polsce. Dotychczas zachodził proces odwrotny: z roku na rok, wolniej lub szybciej, w sposób zróżnicowany co do pewnych rodzajów przestępstw, przestępczość, jako przejaw patologii życia społecznego, wykazywała tendencję do zmniejszania się. To była reguła znająca w każdym razie co najmniej jeden wyjątek: zwykła u nas, podobnie jak za granicą, przestępczość nieletnich. Palącym od lat problemem była także recydywa.

Spółczesność czuje się słusznie zaniepokojona zwiększaniem się liczby szczególnie tzw. przestępstw chuligańskich. Jest to plaga trapiąca nie tylko nasz kraj; prowadzimy z nią walkę od wielu lat. Podobnie jak z akcją antyalkoholową, tak i tutaj rezultaty naszych wysiłków okazały się deprimujące: rośnie w Polsce spożycie alkoholu i alkoholizm, potęguje się chuligaństwo.

Między tymi zjawiskami istnieje zresztą ścisły związek, wzajemne oddziaływanie: młody (najczęściej) człowiek, którego nazywamy chuliganem, „rozrabia” (co za eufemistyczne określenie na fakt popełnienia przestępstwa lub wykroczenia) przeważnie pod wpływem alkoholu; bez niego nie byłby tak pewny siebie. Gdyby był trzeźwy, można częstokroć przyjąć z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością, że takiego czynu nie dokonałby. Pobit przeciż lub znieważył nie znanych sobie ludzi, dopuścił się napaści na interweniującego milicjanta, sam też coś przy tym oberwał, teraz jest aresztowany, czeka go rozprawa przed kolegium lub sądem, jak ona się skończy? Czy pójdzie aresztować? Ale z drugiej strony jednostki zdemoralizowane, nie pracujące i nie uczące się, lub zajmujące się pracą lub nauką z dużą niechęcią, czując potrzebę stałego bytowania, skupiają się w grupy, których więź podtrzymuje wspólne spożywanie alkoholu.

Jakie są przyczyny chuligaństwa? Wymienia się tu zwykle kryzys współczesnej rodziny, upadek autorytetu rodziców, niedostateczną pracę wychowawczą szkół i organizacji młodzieżowych, atrakcyjność w pewnym wieku postawy „rozrabia-ki”, cwaniaka, nieroba, w dużych

miastach — anonimowość działania, a co do wielkiej liczby uczniów i pracowników dojeżdżających do pracy ze wsi lub mieszkających w internatach, stacjach lub hotelach robotniczych — brak głębszej więzi ze środowiskiem. I tutaj „pieniądz gorzsy wypiera pieniądz lepszy”, postawy aspołeczne szybko i łatwo znajdują naśladowców. I wszędzie ten alkohol, niekoniecznie wódka, może być wino lub piwo, ale pite aż do skutku, aż do utraty samokontroli. Są to sprawy dobrze znane. Można wymieniać inne jeszcze bliższe lub dalsze przyczyny chuligaństwa (pracujący rodzice nie mają czasu i sił na zajęcie się swymi dziećmi), można się spierać co do innych jeszcze rzeczy. Na horyzoncie narkotyki.

Uwagi moje pragną jednak wyjść naprzeciw tym głosom w opinii publicznej, które mają pretensje do wymiaru sprawiedliwości, że wykazując zbyt liberalizm w stosunku do chuliganów, nadto ich rozpuścił, przyczyniając się niekiedy do rozpanowania chuligaństwa. Nie jestem w stanie jednoznacznie powiedzieć, czy ci, którzy tak twierdzą, mają rację. Jak to zwykle bywa gdy chodzi o zjawiska społeczne, zagadnienie nie jest takie proste. Aby nie przekroczyć limitu objętości właściwego dla skłutu, ograniczyć się wypada do elementarnych uwag.

To prawda, że sądy nasze nie odznaczają się jakąś szczególną surowością. Z reguły kary wymierzone są w granicach dolnego zagrożenia; mając do wyboru kary różnego rodzaju (np. pozbawienia wolności i ograniczenia wolności), sędzia do kary surowszej sięga w ostateczności. Zresztą o tym, jaka kara może być wymierzona za dany czyn przestępczy, decyduje przecież ustawa karna.

Najogólniej da się powiedzieć o nowym kodeksie karnym z 1969 r. (zaczął obowiązywać od 1.1.1971 r.), że jest to akt prawny nowoczesny, odpowiadający współczesnym nurtom socjalistycznej nauki prawa karnego i kryminologii. Operuje on oszczędnie karą pozbawienia wolności, wprowadza szereg instytucji dających sędziemu możliwość najbardziej adekwatnego doboru represji w stosunku do sprawcy przestępstwa. Instytucje warunkowego umorzenia postępowania karnego, kary ograniczenia wolności i warunkowe-

go zawieszenia wykonania kary pozbawienia wolności, mimo ich różnorodności funkcyjnej łączy to, że są wyrazem wiary ustawodawcy w możliwość osiągnięcia zmiany aspołecznej postawy sprawcy bez stosowania tradycyjnej kary umieszczenia w zakładzie karnym. Idea kary jako odwetu i tylko odwetu za czyn przestępny, tak popularna w społeczeństwie, ma coraz mniej zwolenników wśród prawników całego świata.

I tu jest podstawa do nieporozumień. Zgodnie z art. 59 § 1 k.k. sąd wymierza karę według swego uznania w granicach przewidzianych w ustawie, oceniając stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu i biorąc pod uwagę cele kary w zakresie społecznego oddziaływania oraz cele zapobiegawcze i wychowawcze które ma ona osiągnąć w stosunku do skazanego. Uwzględnienie tych wszystkich dyrektyw na raz jest często niemożliwe, gdyż wymogi tzw. prewencji szczególnej, a więc wzgląd na osiągnięcie reedukacji i resocjalizacji sprawcy, stać może na przeszkodzie wymierzeniu kary surowej, a tylko taka byłaby np. w danym wypadku adekwatna do społecznego niebezpieczeństwa czynu. Przestępstwa o charakterze chuligańskim spotykają się w kodeksie karnym ze wzmoczoną represją. W stosunku do sprawców tych przestępstw wyłączone jest w zasadzie stosowanie warunkowego zawieszenia wykonania kary, nie mogą też oni korzystać z przewidzianych w art. 54 i 55 k.k. sposobów łagodzenia odpowiedzialności karnej. Co ważniejsze jednak, w myśl art. 59 § 1 k.k., jeżeli sprawca dopuścił się umyślnego występku o charakterze chuligańskim, sąd wymierza karę pozbawienia wolności nie niższą od dolnego zagrożenia zwiększonego o połowę, a jeżeli ustawa daje możliwość wyboru rodzaju kary, sąd może orzec tylko w wyjątkowych wypadkach karę łagodniejszego rodzaju tak zastrzoną. Novum stanowi także uprawnienie sądu do orzeczenia nawiązki w wysokości od 500 do 5000 zł na rzecz pokrzywdzonego albo na rzecz PCK lub na inny cel społeczny wskazany przez sąd.

Długotrwały spór w doktrynie w kwestii określenia szczególnych cech przestępstwa o charakterze chuligańskim, przeczał wreszcie nowy kodeks karny. Stanowi on w art. 120 § 14, iż charakter chuligański mają występkę polegające na umyślnym zamachu na bezpieczeństwo powszechne, na zdrowie, wolność, godność osobistą lub nietykalność człowieka, na organ władzy lub administracji państwowej, albo na działalność instytucji państwowej lub społecznej, na porządek publiczny, albo na umyślnym niszczeniu lub uszkodzeniu mienia, jeżeli sprawca działał publicznie oraz w

we. Tylko wygłady mogą być opisane i klimat odczuty. Ważne wynurzenia. Z dwu przyczyn: wprowadzają od razu w meritum świadomości światopoglądowej Camusa; po drugie — wywołują skrajniejszą już czysto literackie. A zatem — przyznaje autor „Mitu Syzyfa”, że jego filozofia wyrasta z poczucia niemożności całkowitego poznania świata, niemożności stworzenia takiego systemu ontologicznego, który byłby jedynie prawdziwy.

I tu wyłania się pierwsza antynomia — na niemożności poznania

Co jest wyższe — sztuka czy filozofia? — nikt tego nie rozstrzygnie; i bez jednego, i bez drugiego życia byłoby światem nie do zniesienia, ale bez drugiego, zdaje się, że większym.

St. Ignacy Witkiewicz: „Jedynym wyjściem”

POLSKI czytelnik otrzymał (choć i w wyborze) eseje filozoficzno-estetyczne autora „Upadku”. Dotkliwa luka została w jakiejś mierze wypełniona. Układ tomu to fragmenty „Mitu Syzyfa”, „Człowieka zbuntowanego”, „Artysty i jego spoki”. Jak również: „Dwie strony tego samego”, „Listy do przyjaciela Niemca”, pokaźny wybór publicystyki i notatek. W ten sposób powstało dzieło — łagodne mówiąc — niespójne.

Nie widzę absolutnie żadnych rozsądnych motywacji włączenia do eseistyki Alberta Camusa „Dwóch stron tego samego”, albowiem są to krótkie nowele, a więc utwory artystyczne. Po wtóre — dwa opublikowane teksty „Listów do przyjaciela Niemca” nie są również eseistyką, a dość ewidentną publicystyką. Po trzecie — wybór publicystyki francuskiego pisarza w przeważającej większości również zaprzecza tytułowi tomu, przeto i z tego dorobku można było zrezygnować. „Notatki” — zamykające książkę — są raczej zbiorem aforyzmów, refleksjami intymnymi, zapiskami i planami do dzieł artystycznych, które potem Camus stworzył lub nie napisał wcale. Nie są zatem i one esejami sensu stricto, ale ich wartość poznawcza jest niebagatelna, chociażby dlatego, że w nich autor „Obcego” jest może najbardziej szczerzy.

Gdyby tedy zrezygnować z „Dwóch stron tego samego”, „Listów do przyjaciela Niemca” i publicystyki (wydać je przy innej okazji), można by było dać bogatszy (albo wręcz pełny) tekst „Mitu Syzyfa” i „Człowieka zbuntowanego”, szczególnie zaś tego drugiego dzieła. Sądzę przeto, że wydanie „Esejów” w tym kształcie nie zdoła jeszcze w pełni zaprezentować polskiemu odbiorcy oblicza filozoficznego Camusa; i konieczność opublikowania w Polsce całego „Człowieka zbuntowanego” i „Mitu Syzyfa” jest nadal palącą aktualnością.

Tyle o samej książce, a teraz o Camusie — filozofie, artyście i powieściopisarzu. Eseje autora „Wy-

gnania i królestwa” określają jego postawę filozoficzną, nie natomiast — to wszak oczywiste — działalność artystyczną. Nie znaczy to jednak, że filozof nie utożsamia się z artystą; przeciwnie — teoretycznie (a więc w esejach właśnie) pragnął Camus stać się takim, powiedziałbym, dwójście — jednolitym. Gdyby wszelako skonfrontować powieści (poprzez stały na nich tylko) z deklaracjami i tezami filozoficzno-estetycznymi, doszłoby się może do wniosku, że praktyka artystyczna oddzielona jest dość wyraźnie od

Rzeczywistość dławiona sprzecznnością

Jacek Wegner

działalności teoretycznej. Ale to sprawa, acz — mniemam — ważna, zawiła; i nie o tym chciałbym pisać. Albowiem urzekło mnie co innego. To mianowicie, by opisać świadomość autora „Esejów” wnikać w jego rzeczywistość intelektualną, jego filozofię i poczucie estetyczne.

Co tedy może stać się punktem wyjścia do realizacji tego, przeciż wcale nielatwego, zamierzenia? Dla mnie owym zaczynem jest, by tak rzec, Camusowska metoda, metodologia ewokacji tez filozoficzno-światopoglądowych i wypływających z nich wniosków natury estetycznej. A to tym bardziej, że sam filozof przydaje metodzie w dociekaniach nad kondycją ludzką miejsce pierwszoplanowe. Metody bowiem implikują metafizyki, zdradzają bezwiednie wnioski, które niekiedy uważają za jeszcze nieznanne (...) metoda jest wyrazem poczucia, że wszelkie prawdziwe poznanie jest niemożli-

zbudowany zostaje system filozoficzny, którego bynajmniej nihilistycznym nazwać nie można. Identyfikacja świadomości (wyrażona, rzecz jasna, inaczej: sarkastycznie i drwiąco) miał przed Camusem Witkacy. W „Jedynym wyjściu” napisał: „najpierw zbudować Ontologię Ogólną, jak z żelazobetonu skonstruować szereg koniecznych pojęć i twierdzeń zasadniczych, które muszą obowiązywać każde absolutnie Istnienie aktualne i możliwe nawet. Tylko od czego zacząć i jakie wybrać kryterium prawdy i porządku w tej okropnej sferze, gdzie każde założenie wydaje się (...) czymś zupełnie dowolnym. Nie ma kryterium dla określenia wartości materialów pierwotnych, gdyby było, dałoby istniał system idealnie doskonały... I dalej: Czy ma sens w ogóle myślenie o takich znaczkach, kiedy ich sformułowanie następuje już nieomal poza właściwą sferę intelektu, na granicy artystycznego nonsensu, wy-

rozumieniu powszechnym bez powodu lub z oczywistej blagiego powodu, okazując przez to rażące lekceważenie podstawowych zasad porządku prawnego.

Zamyśl ustawodawcy w stosunku do tego rodzaju czynów jest wyraźny: na plan dalszy należy odstawić środki minimalizujące odpowiedzialność karną, odpowiedź społeczeństwa wyrażona w wyroku sądowym powinna być zdecydowana i twarda. Chuliganizm pojmuję zazwyczaj skazanie go na karę pozbawienia wolności z zawieszeniem jej wykonania lub skazanie na karę ograniczenia wolności jako wyraz słabości społeczeństwa i wymiaru sprawiedliwości, który ma więcej względów dla chuligana niż dla ofiary jego czynu. W takim bowiem wypadku pokrzywdzony nie ma niezbędnej satysfakcji, że została mu udzielona mu ochrona prawna, a czyn przestępny został potępiony. Rodzi się pytanie, czy w sądownictwie karnym po znanych dalszej i bliższej historii nieprawidłowościach ograniczania praw oskarżonego do obrony, traktowania go jako przedmiotu procesu a nie jako równoprawnej z oskarżycielem strony procesowej, nie nastąpiło po tym wszystkim przegięcie w drugą stronę? Kodeksy i stosujące je organy procesowe uważnie baczą, aby przestępcy nie stała się zbyt krzywdą. I słusznie. Ale jakże w cieniu pozostaje pokrzywdzony, ofiara przestępstwa. Często u nas w kraju amnestie na pewno nie sprzyjają w kręgach marginesu społecznego ukształtowanie się i utrwalenie poczucia odpowiedzialności za swe czyny. Czy nie zbieramy w 1971 r. planu amnestii z 1969 r.?

Jeżeli ustawodawca zdecydował się zwalczać pewne czyny przy pomocy najsurowszych środków przymusu, jakimi są kary, to powinno się te jego wołę uszanować. Niechaj złodziej i chuligan zostaną potraktowani tak, jak na to zasługują. Zbyt częste stosowanie wyjątkowych środków, jak umorzenie postępowania z powodu braku lub znikomości społecznego niebezpieczeństwa czynu, czy też warunkowego umorzenia postępowania zdolne jest wywołać niepewność w społeczeństwie co do tego, czy rzeczywiście np. pobicie i znieważenie są czynami karalnymi, skoro ich sprawców żadna kara nie dotknęła.

Od pewnego czasu na Lubelszczyźnie, podobnie jak na terenie całego kraju, trwa skierowana przeciw chuliganerii akcja „Porządek”. Termin „akcja” nasuwa na myśl szereg innych słusznych przedsięwzięć społecznych, które trwały kilka tygodni lub miesięcy by potem pojsć w zapomnienie. Cóż zrobić, siły organów bezpieczeństwa i porządku publicznego są przecież ograniczone, nie mogą zresztą trwać miesiącami w stanie alarmowym. Pomoc czasowo-

wa ze strony wojska i innych mobilizowanych ad hoc organizacji społecznych przelomu chyba nie przyniesie. Akcja się skończy i zacznie się normalny dzień. Co wtedy?

Ciężar codziennej walki z przestępczością, zadanie ochrony życia, zdrowia, wolności, mienia obywateli przed przestępnymi zamachami spoczywa na Milicji Obywatelskiej — formacji wyspecjalizowanej, uzbrojonej i w tym celu m.in. powołanej do życia. Można odnieść wrażenie, że jest ona obecnie nadto skrepowana czynnościami biurokratycznymi, robotą papierkową, co prawda konieczną, ale przecież nie leżącą najlepiej w profilu jej pracy. Przyjmowanie zawiadomień o przestępstwie, przesłuchiwanie świadków i podejrzanych, dokonywanie konfrontacji, wszystkie to bardzo ważne i niezbędne dla prawidłowego przebiegu procesu karnego czynności zająłby funkcjonariuszowi MO codziennie wiele godzin czasu ze szkoda dla działalności operacyjnej. Milicjant, pełniący służbę w komisariacie lub posterunku, powinien mniej czasu spędzać za biurkiem a więcej w terenie. Tradycyjna piesza służba patrolowa w mundurze lub po cywilnemu okazuje się być równie przy nowoczesnych środkach transportu i łączności najlepszym sposobem zabezpieczenia spokoju i bezpieczeństwa obywateli na ulicach, w parkach, masowych imprezach itd. Nie powinno dziwić używanie przez milicję w zmotoryzowanych krajach Zachodu rowerów a nawet koni.

Któż zatem przejmie od funkcjonariuszy MO wyżej opisane czynności za biurkiem? Myślę, że z powodzeniem mogłyby to częściowo czynić asesory lub podprokuratorzy prokuratur powiatowych, w szczególności tam, gdzie w grę wchodzi dochodzenia dotyczące przestępstw popełnionych na terenie miasta stanowiącego siedzibę prokuratury. Wymagaloby to, rzecz prosta, wzmocnienia etatowego tych organów. Można by także pomyśleć o szerszym wprowadzeniu do organów MO absolwentów wydziałów prawa, którzy mieliby za zadanie odciążać innych funkcjonariuszy na rzecz pracy operacyjnej, do której przecież zostali wszechstronnie przeszkoleni. Prepozycje te mają charakter dyskusyjny. Oczywiście jest jednak, że coś trzeba zrobić, aby po skończeniu „akcji” chuliganstwo nie podniosło znów butnie głowy. Organy wymiaru sprawiedliwości, jak też ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego, muszą być świadome tego, że społeczeństwo oczekuje od nich zdecydowanej, nieprzerwanej i konsekwentnej walki z chuliganstwem.

Od redakcji: autor artykułu, dr Andrzej Wasek, jest adiunktem w Zakładzie Prawa Karnego i Kryminologii UMCS.

Aleksander Rozenfeld

Taka pełnia
w obcym mieście i z daleka
patrzeć na ciebie
coraz to
inną przybierasz postać
w każdej idącej — siedzącej
szukam twego uśmiechu
mijają mnie chmurne
ty mnie mijasz chmurna
taka pełnia
w każdej bramie schodów szukam
na nich to fotografii twoich stóp
w każdym gęście twoich rąk
tyle pociągów — dworców tyle
która moja przystań
gdzie choć na chwilę mogę
do twej twarzy przypaść jak do ołtarza
zmówić ojciec nasz — matka nasza
taka pełnia
i zanieść

Jadwiga Majowa

Poecie

siano pachniało snem
a sen krwawą rózgą
co nad miastem płonęło w sierpniowe wieczory
w piwnicach czyhał ojca cień obłąkany
matko
matko
ci chłopcy
oczy mieli złote i włosy jak anioły
mieli mnie strzec
wstawieni w oczodoły okien

ślepnę w błyskawicy
i słowa uciekają jak sploszone świerszcze
mleczne krowy wracają do domostw
zbiła się światła krwawy udój

drzewa się
bombą trafiony w staloch
siano pachniało snem
czegóż się bać

Nocą

Nocą przychodzą po mnie
pojęki snów długonogie.
(Umarle godziny zegara
ruca w studnię ulicy).

Thucze się w kłótkę ciemnej
serca wylęknę nietoperz.
Na strych z pustymi sznurami
wyjdź Uwiąz wyjący księżyc!

Jan Górec-Rosiński

Palmy sycylijskie

Las palm kolumn korynckich
rozpuszcza włosy
wołają cykady Mario Mari
na brudnym brzegu kąpie się morze
Monte Pellegrino kamienny bochenek
pilnuje mgieł i wiatrów
Wolają cykady brzeg mówi
zawrócić biegną stalowe owady
Słup powietrza słup ognia
słup soli w błękitcie słońce
twoje oczy tunel w który
wchodzę owinięty chłodem oliwek
las panien zielonych
opuszcza powieki
wołają cykady Mario Mari

Stanisław Żurek

Obok siebie

obok siebie
a krzewy między nami ciemne
na oziębłej twarzy spada gwiazda
i ciągną wiatry kalczaste
obok siebie a w oczach smutek
spopieła światło
i tylko plak
w nas
trzępie powietrze skrzydłem
łasknoty
zlatują się gołębie
nic nie znaczących spotkań
i niespokojne są gniazda snu

a kiedy niebem popłynę moje drzewo bólu
wiatr zielony rozszumi się ciemniej
w pniu krągłe drzewo lat szal snu otuli
warstwy smutku które narastały we mnie

znów niepokój ptaka będzie z nieba zwisał
armie deszczu rozstrzelają radość jasną
pęknie kamień i w zimę białą jak cisza
odjedziemy wtedy z jesienno miasta

zółty wiatr wieje z płótna
że w pokoju
jakże niepewny płomień świecy
budzą się
stare kartki albumów
i z obrazu
syją się na podłogę
liście jesieni
twarz ziemi
jest ciężka od brązu
w tym pejzażu
człowiek się schował
w wewnętrznych ramach

nad obrazem ciotki
krystyny łobody

rażającego to, wobec czego sformułowanie oparte o logikę z jej jednoznacznością pojęć i sztywnymi zasadami są kompletnie bezsilne.

Zdumiewające. Witkacy — powieściopisarz jawi się jako ten, który zapłodnił, a w każdym razie wyprzeł myśl egzystencjalistyczną, sam egzystencjalista nie będąc; sam w końcu życia młotając się w niemożności stworzenia Ontologii Ogólnej, która byłaby podstawą jakiegokolwiek konkretnego systemu teorii-poznawczego. Inaczej egzystencjalista po II wojnie światowej, inaczej autor „Człowieka zbuntowanego”. Wybrać, nie poddając szczegółowej analizie, założenie, tezę ontologiczną i na jej fundamentach zbudować system. Absurd u podwalin świadomości filozoficznej.

Camus, jak Pascal, nie jest właściwie filozofem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, jest myślicielem humanistycznym, albowiem przesłanką pierwszą (czy i nie wyłączną zarazem?), implikującą ontologiczny absurd, jest los człowieka, los jednostki; punktu wyjścia nie stanowi u niego analiza rzeczywistości ludzkiej, fizycznej, biologicznej etc. A losem tym — pomijając oczywistą dla każdego śmierć — jest sprzecznosc. Jesteśmy-u szczytu sprzecznosci — powiada Camus w „Notatkach” — cała epoka dławi się zatopiona w sprzecznosciach po szyję, bez jednej łzy wyzwolenia. Toteż owa sprzecznosc stanowi się dlań podstawą wszelkich definicji. I tu po raz drugi zbliża się do Pascala. Jak autor „Pensées sur la religion”, operując antynomiami, wyjaśniał los człowieka, tak autor „Mitu Szyzyfa”, dialektyką się posługując, dowodzi prawdy swojego Absurdu: Jasnosc widzenia, która powinna mu (Szyzyfowi — J.W.) być udręką, to jednocześnie jego zwycięstwo. Nie ma takiego losu, którego nie przetrzyjemy poparą. I: Wyszliśmy od świadomości udręczonej nieludzkością, medytacja nad absurdem powraca na koniec do płomiennej pasji buntu ludzkiego. A bunt staje się jak gdyby pierwszą inicjacją wyzwalającą do absurdu, aczkolwiek Camus formułuje to akurat odwrotnie: z absurdu wyprowadza trzy konsekwencje — bunt, wolność i pasję.

I wyłania się następny sposób odkrywania absurdu: medytacja. Tak więc owa metoda Camusowska, która ma zamiar niemożliwego potania dać teoriopoznawczą konkluz-

ję, jest, po pierwsze, spinanie sprzecznosci, po wtóre — medytacja nad własną (jednostkową, nie społeczną ani historyczną) kondycją.

To wszelako nie wszystko. Egzystencjalizm jest — prawdę mówiąc — ujmującym intelektualnie światopoglądem, dlatego może tak we współczesnym świecie popularnym, by nie rzec: modnym. Albowiem system ten — jak mało który w dziejach ludzkiej myśli o sensie bytu człowieka — jest immanentnie sprzeczny; jest w takiej samej mierze irracjonalny jak i racjonalistyczny. Wychodzi Camus od stwierdzenia, że świat jest niepoznawalny, ale by nadać mu sens i by — jako jednostka — odnaleźć się w tej rzeczywistości, trzeba ją racjonalizować. Wyprowadziwszy myśl przeczącą rozumowemu poznaniu świata, zdąży natychmiast egzystencjalista do możliwie najściślejszego racjonalnego jej uzasadnienia. Świat sam w sobie nie jest rozumny, to wszystko, co można powiedzieć (...) W tym świecie nieczytelnym i ograniczonym los człowieka nabiera sensu. Pojawia się irracjonalność i towarzyszy mu do ostatniej chwili (...), ale absurdalna jest konfrontacja tego, co irracjonalne i oszałamiające pragnienia jasności, którego uwalenie rozlega się w najgłębszej istocie człowieka (podkr. — J.W.)

Również w „Micie Szyzyfa” powiada Camus, że nie chce budować na tym, co niezrozumiałe. Chcę wiedzieć, czy mogę być z tym, co wiem, i tylko z tym. A prawdziwym postulatem postawy egzystencjalistycznej jest wezwanie do osiągnięcia szczytów wysiłku myślowego, myśl jasna i uszczelniona. Absurd o tyle może być kategorią teoriopoznawczą, o ile w pełni będzie uświadomiany przez jednostkę, powieściowym, porażoną niezrozumiałością świata (z tej to świadomości-nawiasem mówiąc, wyprowadzają Camus i Sartre swoje moralne uogólnienia, a w ich następstwie nadają absurdowi typowo humanitarne już znaczenie, czynią zeń normę etyczną, a zatem przetrzymują absurd... lecz to oddzielny i złożony dyalekt, jedynie o nim napomykam).

Tak tedy Pascalski irracjonalizm łączy się w świadomości egzystencjalistów ze zgola Kartezjańskim racjonalizmem (myślę, więc ujawniając absurd...). Racjonalizm jest przecież jaskrawo dominującą jakością w tradycji kultury nadsek-

wnskiej. Zracjonalizowany absurd ma moc, rzekłbym, „oczyszczającą”, albowiem — zgodnie z regułą sprzeczności — usensawia rzeczywistość ludzką. Tak samo jak systemy filozoficzne odwołujące się do bytów pozamaterialnych. W miejsce odrzuconego Boga wstawili egzystencjalisci pojęcie Absurdu, czyniąc zeń wartość uniwersalną. Dzięki temu — wbrew prymitywnemu pojmowaniu tej filozofii — egzystencjalizm jest światopoglądem wysoce humanitarnym i, co więcej, optymistycznym...

Lecz nie sam, filozoficznie pojmowany, absurd daje namiastkę wyzwolenia i poczucia sensu życia. Dopiero otrzymawszy drugi wymiar: artystyczny — osiąga swoje humanitarne apogeum. O tyle właśnie „Człowiek zbuntowany” jest istotniejszym dziełem od „Mitu Szyzyfa”, że daje pełniejszą wykładnię estetycznej postawy autora. Sztuka neguje to, co realne, ale od realności nie ucieka. (...) Może istnieje jednak transcendencja życia, której obietnicą jest piękno, i dlatego kochamy ten świat śmiertelny, ograniczony i wolimy go od każdego innego.

Jak — przed laty — sztuka i filozofia w umyśle Witkacego nadały sublimację życiu, tak po II wojnie światowej i dla autora „Dżumy” obie te dziedziny afirmowały jego egzystencję, bo gdyby świat był jasnym, nie byłoby sztuki. Przy czym nie uznaje Camus sztuki tzw. realistycznej. Sartre powiedział, iż tam gdzie zaczyna się odzwierciedlanie, tam kończy się sztuka. Autor „Obcego” natomiast mniema, że realizm jest w ogóle niemożliwy, iż jedynie realizm mógłby być Bóg. Odrzuca realizm, ma innymi kierunkami i konwencjami przechodzi do porządku. Postuluje jedno — sztukę absurdalną, której najwyższym wyrazem jest powieść. Powieści to filozofia ujęta w obraz. A jeśli chce zarzucić to sobie całe doświadczenie, wówczas powstaje papierowa literatura objaśniająca.

Jakież w tym ile uwydatnia się postać naszego Witkacego, który już w latach dwudziestych i trzydziestych odrzucał owo doświadczenie, ową pragmatykę życia; napisał w „Jedynym wyjściu”: ja nie znam się do opisywania życiowych kausalności, tylko staram się (może bezskutecznie) wytworzyć typ powieści intelektualnej, i to filozoficznej. Z tym wszelako, że Camus urzeczony jest powieścią Dostojewskiego i Kafki. Pierwsza bowiem kreuje człowie-

ka znającego już swój los absurdalny, druga — ewokuje samą materię absurdu. W gruncie rzeczy pisarstwo Dostojewskiego stanowią we współczesnej literaturze francuskiej ciągle żywą inspirację. Toż przecież nawet prozaicy z innych kręgów upodobań formalno-filozoficznych skłaniają się do uznania człowieka Dostojewskiego za prawzór współczesnego bohatera literackiego (na przykład N. Sarraute: „De Dostojewski à Kafka” w „L'ère du soupçon” Gallimard 1956).

I tym się będzie różnił Camus od autora „Nienasyceń”, który uznając wielkość tradycji powieściopisarskiej, właśnie tę wielkość kwestionował (Inaczej pisać nie warto: po Tolstoju, Maupassancie, Flaubercie, Conradzie, Dostojewskim, Zerkomskim i paru innych czy warto starać się o przedstawienie tak już aż niemożliwie przedstawionego przez nich życia jako takiego? Ja myślę, że nie). Ale mimo to — istotnie przecież — różnice obaj twórcy nadali swoim powieściom inny już charakter użyteczności społecznej, inny zakres treści: metafizyczne oświecenie. U Camusa miało ono prowadzić do „absurdalnego” objawienia, do egzystencjalistycznej świadomości.

Celowo używam formy niedokonałej, boć przecież nie spełnił w swoich najważniejszych dziełach Camus tego zamierzenia. „Upadek”, kreujący przepiękną postać Sędziego-Pokutnika w takiej samej mierze jak „Dżuma” z dr Rieux, Tarrou i ojcem Paneloux ewokuja dylematy etyczne i akceptują wartości moralne katolicyzmu. Katolicyzm, który Camus-filozof odrzucił, wraca rykoszetem do jego dokonania artystycznych, przynajmniej tych najistotniejszych — oto i następna sprzecznosc tego genialnego umysłu i tego moralisty do końca dławionego okrucieństwem epoki, w której wielkość człowieka sąsiaduje z ludzkim bestialstwem. To właśnie doświadczenia wojny zmusły Camusa do poszukiwania utraconej świętości człowieka. W „Dżumie” — w heroizmie; w „Upadku” — w pokucie...

Znak różnicy między estetyką i etyką stawiał Camus expressis ver-

bis i w swoich esejach: Każde wielkie dzieło uświętnia i wzbożca człowieka, oto cała tajemnica. Tysiąca obozów i cel więziennych nie wystarczy, by przekreślić to świadectwo godności. Piękna to myśl, za którą kryje się troska o godność moralną człowieka naszego wieku. Myśl, której poświęcił przed Camusem całą swoją twórczość autor „Promethidiona”. Czyniąc jedno z estetyki i etyki we francuskim pisarzu XX wieku, znalazła pułchnia Norwida potwierdzenie swej nieustającej aktualności...

Lektura „Mitu Szyzyfa” i „Człowieka zbuntowanego” budzi tedy w polskim czytelniku skojarzenia mu najbliższe, bo wywołujące własne tradycje literackie. To już przeto zaświadcza niezbicie, jak znamienne rolę odgrywa przyswojenie naszej kulturze eseistyki Alberta Camusa. Toteż można, i trzeba, w tym miejscu ujawnić pretensję do autora wstępu „Esejów”. Jerzy Kossak wyjaśniając niektóre zawilosci filozofii egzystencjalnej Camusa, robi wszystko, by zniechęcić do czytelnika. Nazywa na przykład Camusowskie pojęcie buntu „buntem jałowym”, a postawę światopoglądową autora „Obcego” „wewnętrzna emigracja”. Na jakim stanowisku stoi Kossak? Czego oczekuje od myślicieła tej miary co Camus? Filozofii pragmatycznej? Takiej nie ma, i być nie może — to ideologia. Camus nie był — w esejach filozoficznych przynajmniej — ideologiem, tak samo jak nie byli Jaspers, Heidegger i nie jest Sartre, jak nie jest ideologami większość filozofów, myślicieli i artystów. Nie, nie jestem zaślepionym chwalcą Camusa. Mnie też w jego myślach sporo razi, przede wszystkim typowo francuska egzaltacja i nazbyt niekiedy natrętny patos językowo-słowny. Lecz przykładanie do esejów Camusa miar spoza filozofii i estetyki uznaję za rażące nieporozumienie.

*) Albert Camus: „Eseje”. Wybór i przekład Joanny Guze. PIW, Warszawa 1971.

Bunto-wnicy bez sił i programu

(Dokończenie ze str. 1)

okcie Spółdzielni Satyryków „Elita” z Wrocławia, mająca zaprezentować — zresztą poza konkursem — „Kadroskop”. Zważywszy jednak, że niektóre przedstawienia pokrywały się w czasie z innymi, lub też odbywały w tak odległych miejscach, że bez taksówki (a o tę w Łodzi trudno) nie sposób było zdążyć na czas, ilościowe zmniejszenie imprezy nie dawało się odczuć. O jakościowych stratach trudno mówić, nie widziawszy „Paktu” i „Kadroskopu”. Na uroczystej inauguracji wystąpił „Gong 2”, laureat spotkań łódzkich w latach 1967 i 1968, tym razem z „Kaźdym”. O „Gongu”, jego spektaklach i jego reżyserze Andrzeju Rożhinie pisano już w „Kamieniu” obszernie, nie będę powtarzał. Teatr polityczny, agitacyjny ma to do siebie, że szybko traci aktualność, repertuar musi się nieustannie zmieniać. „Kaźdy” jeszcze nie zwietrział, lecz inni pokrzali

który poszukuje jej bezskutecznie. Tak ja to przynajmniej odczułem — a pantomimę dzisiejszą, już nie tak naturalistyczną jak ongi, można właściwie odbierać różnorodnie. Pewnie każdy widzą opowiadania ją trochę inaczej. Wszystko to odbywało się przy dźwiękach hałaśliwej muzyki z taśmy oraz w kolorowych światłach, szybko zmieniających się i błyskających aż do bólu oczu. W sumie niewiele treści nowych, mogących poruszyć widza. Właściwie pokazywał te problemy już Chaplin w swych filmach. Jednakże sprawność warsztatowa aktorów pozwalała patrzeć na spektakl z zainteresowaniem. Podobnie dobrze wystawione, choć niczym nie wstrząsające, były „Karuzela” w wykonaniu Akademickiego Teatru Pantomimy „Gest” z Wrocławia (scenariusz i reżyseria — Andrzej Leparski) i „Syn marnotrawny” (scenariusz M. Czarnieckiego i J. Kubickiego, reżyseria J. Kubickiego) Studio Pantomimy Politechniki Szczecińskiej.

„Teatr 77”, działający pod patronatem Rady Okręgowej ZSP w Łodzi, prowadzi pięć odrębnych scen. (Ileż tych teatrów studenckich mają łodzianie; i jeszcze Studio Prób UL i ST „Pstrąg” i co tam nowego już się tworzy!). Drugim pokazanym przez nich utworem był „Spisek” Zdzisława Hejduka w reżyserii Hejduka i Andrzeja Podgórnego — jedyny na przeglądzie utwór z fabułą. Dość ciekawą; czterech panowie od 28 lat spotykają się w pewnej piwnicy (grano to w autentycznej, nieco zagranej piwnicy), celem zmontowania spisku politycznego i obalenia rządu. Nie zrobili w tym czasie nic, nie zwerbowali do konspiracji nikogo (poza kilkoma znajomymi i krewnymi), nie mają żadnego programu ani planu działania, nikt postronny o nich nie wie, władze nie poszukują ich ani nawet nie śledzą — co spiskowców najbardziej boli i czego jednocześnie się najbardziej boją. Cała ich działalność to składkowe popijanie, uczenie się jak przemawiać i pozdrawiać masy w wypadku dojścia do władzy. Nie jest jeszcze wzajemna podejrzliwość, że kolega zmontuje koterię, obali szefa spisku i stanie na jego czele itd. Można — słuchając — myśleć, że przecież na świecie działało wiele tego rodzaju grup, które nigdy niczego nie dokonały, ale członkowie ich żyli złudzeniami swej misji. Można doszukiwać się, porównać z emigracyjnym „zadem” spod znaku Białego Konia w Londynie, można z różnymi prawdziwymi drobnymi politykami, czy nawet marzycielami o karierze politycznej, którzy podobne plany snuli przy brydżyku i u nas w kraju przez kilka ładnych lat po wojnie, można przeprowadzić analogię ze

tych. Połączony gęstą siecią z innymi, zależny od innych. Woda, w której jedni się myją, drudzy ją piją. Krew która się leje i krew która przetaczała ludziami. Plakaty polityczne, mobilizujące nas, jeszcze wczoraj tak aktualne, dziś już nieważne. Itd. Itd. Bellot bezduszny nadawców i belkot niemocy odbiorców. Kpiny z natłoku tego, co się na nas wali — i przerażenie tym.

Z największym zainteresowaniem oczekiwano na „Sennik polski” składający się z tekstów kilku autorów, w wykonaniu Teatru STU z Krakowa i reżyserii jego kierownika Krzysztofa Jaszińskiego. Było to coś o losach Polaków, o mesjanizmie, powstaniach, o dziejach niedawnych i dziejach najnowszych. Coś z „Kordiana” i coś z „Wesela”. Kpina i przekora. Także i kpina z tych, którzy kpią z naszego mesjanizmu, bo to nie zachodnioeuropejskie „Boże coś Polakę” i czastuszki. Polonez ludzi spętanych sznurami, odtączony w tempie tak szaleńczym, że na widownię wiało zapachem spoconych ciał. Aktorki i aktorzy wykazywali zadziwiającą kondycję i przygotowanie gimnastyczne. W sumie znów mieliśmy obraz ludzi zgonionych, zdyszanych, wapiących, protestujących, ale bezradnych. Znów migotanie świateł zmuszało do mrużenia oczu. Nasuwało się podobieństwo i do „Jednym tchem” i do spektakli pantomimy. Stłamszenia człowieka przez otaczającą go współczesność, marzenia człowieka o zmianie losu — i niemożność czy też brak sił i odwagi do zmieniania go samemu.

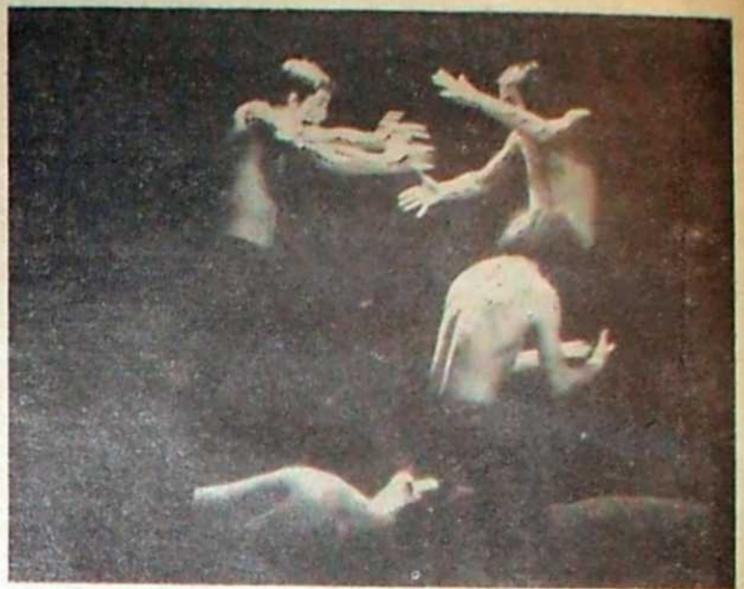
Najmocniej — moim zdaniem — wbił się zębami w dzisiejszość zespół „Teatr 77” wystawiający „Kolo czy trytyk”, „wypowiedź teatralną” — jak to nazwali — wyreżyserowaną przez Ryszarda Bigoskiego i Zdzisława Hejduka, według ich scenariusza. Niewielką grupę publiczności wpuszczono do malej sali, w której stał tylko zwykły stół, a na nim mikrofon. Akcja ze stołem zapowiedział „Panowie i panowie, rozpoczynamy konferencję prasową” i z głośnika pod sufitem popłynęły fragmenty autentycznych przemówień wygłaszanych przez wysokie postawione osobistości w różnych burzliwych okresach powojennej Polski. Wśród publiczności (na stojąco) znajdowali się aktorzy. Zadzawali prowadzącemu konferencję pytania na najrażliwsze tematy polityczne i nie nie znaczące, lub włączając dyskusję na boczny tor (np. dlaczego żarówka z pewnej wytwórni są złej jakości?). Zaczynali się kłócić i spierać ze sobą, jedni drugim zarzucać konserwatyzm lub rozrabianstwo i nieodpowiedzialność. Niektóre głosy były prowokacyjne, aż język świerzbiał, żeby coś powiedzieć. A ponieważ aktorzy stali stłoczeni wśród publiczności i niczym nie różnił się od niej, nie było wiadomo, czy to oni, czy to już publiczność mówi. I rzeczywiście co gorętsi widzowie włączali się. Grał już nie tylko zeseł — grała publiczność. A głośnik wyczał się fragmentami różnych przemówień.

Potem zaproszono obecnych do następnej sali, gdzie stały zastane obrusami stoły, na nich czysta z czerwona kartka, wędzona ryba i woda sodowa. Częstowano obecnych (trudno mówić, że publiczność lub aktorów, nie było przecież wiadomo, kto jest kto), zaczęła grać muzyka, towarzystwo puściło się w tany, już byli pierwsi zalani. Oto — zdają się mówić autorzy — jak każdą sytuację, nawet najtrudniejszą, potrafimy zamienić w okazję do ochlaju, ubawu w podrzędnym stylu. Rozchichotana dziewczyna wkłada rękę w dekolt i wyjmując nagą pierś na wierzch, a potem tańczy na stole, rozlatując butelki. (Później dowiedziałem się, że tylko jedna zgodziła się na te role, studentka szkoły teatralnej i żona aktora; no jasne, dziś bez rozdziewiania się aktorkie coraz trudniej, np. w Lublinie). Ktoś przetrzuca sobie dziewczynę przez ramiona, pokazując całą jej siedzenie obciążone rajstopami. Ktoś rzuca smażoną rybą. I nagłe krzyk: „Dość”. Młody chłopak nagłym ruchem ściąga obrus z zastawą na podłogę; brzęk tłuczonego szkła. „Jak długo tak można? Dokąd dojdziemy?” — woła. Znów przechodzimy do następnej sali. Ciemno, tylko kil-

ka płomyków na podłodze. I co myślicie o tym wszystkim? — pyta ktoś. Kilka kontrowersyjnych uwag powoduje ostrą dyskusję, która się przeciąga. Niektórzy, zmęczeni stanieniem, wychodzą. Wreszcie spokojna szczerowa rozmowa. Publiczności ubywa. Czy to już koniec? To nie ma końca. Przecież to rozmawia już publiczność. Koniec jest wtedy, gdy rozjedzie się. A może dopiero wtedy, gdy przestanie myśleć. (W widowisku tym brało udział 40 aktorów i tyluż wpuszczono widzów).

Relacje z poszczególnych spektakli mogą być monotonia. Rzecz jasna, trudno jest w piśmie przekazać wiernie formę sceniczną, a przy tym ograniczoną miejscami przesadą do opisów. Jednakże prawdą jest, że przegląd łódzki też użył mono-

studentom. Jak w „Spiseku”, gdzie bohaterowie chcieli zmieniać świat, ale nie próbowali zmienić nawet siebie. A przecież tak bezradnie to pokolenie nie jest. Nikt w tym wieku nie może irwać się za całkiem bezradnego, spętanego przez świat, zwolnionego z obowiązku robienia porządków choćby w mini skali. Wszakże takie propozycje nie padają. Oczywiście, każde pokolenie ma swoją specyfikę; dzisiejszych 20-latków wypadki dziejowe nie zmusiły do walki zbrojnej, do ryzykowania życia, jak Kolombów rocznika 1920. I nie zmusiły ich do przyjmowania na siebie nadmiernych obowiązków w młodzieńczym wieku, wakacji spędzanych w brygadzie pracy, jak rocznika 1930. Jest to pokolenie, które niczego nie ryzykowało, za-



Scena Pantomimy „Teatru 77” „Tratwa Meduzy”. Fot. M. Gajewski

tonią. Wszystkie widowiska były do siebie w pewien sposób podobne. Pokazywały niezadowolone i sprzeciw młodzieży wobec zastanych przez nią form: politycznych, społecznych, kulturalnych, obyczajowych. Dotykały istotnych, nieraz bolesnych problemów. Nie był to teatr układowy, dopracowany. Nie forma artystyczna się liczyła a treść. Treść moralna, bo treści literacko rozumiane często nie było. Młodzież, postępując wyrzucanie starych rozwiązań życia społecznego, nie liczyła się zupełnie z realiami, możliwościami. I to dobrze — ma do tego prawa. Być może, głosy tych wchodzących w życie przekonają, że to, co wydaje się niemożliwe do zrobienia, jest jednak możliwe.

Młodzież domagająca się ze swych scen zmian, pełniłca życia na nowe tory, nie dawała żadnych propozycji rozwiązań. I to jest też normalne. Patrzy świeżym, krytycznym spojrzeniem na wiele spraw. Nie ma jednak jeszcze dostatecznego doświadczenia, do znalezienia nowych rozwiązań. Ma prawo żądać, by znajdowało je pokolenie dojrzałe.

Lecz obserwując łódzką imprezę, można było zastanowić się, czy duże podobieństwo spektakli było wynikiem jednorodności intelektualnej tegoż pokolenia i wspólnoty dążeń, czy też wynikiem mody na określony typ teatru. Czy po dawnej modzie na składanki, „Hej wy, końce, rumaki stalowe” — potem na składanki estradowe, a potem na satyrę obyczajową, nie przyszła kolej na składanki polityczne. W dodatku jest to moda przeniesiona na nasz grunt z zachodnioeuropejskich warunków społecznych. W naszej polskiej sytuacji, raczej nie możemy narzekać na nadmierne tempo życia, zmechanizowanie, zautomatyzowanie, zmotoryzowanie, natłok informacji. Zapewne to przyjdzie, zapewne trzeba działać profilaktycznie, by nie doszło do przesady. Na razie jednak doskwiera nam za wolne tempo życia, za nikły stopień mechanizacji i motoryzacji oraz niedoinformowanie.

To, co widzieliśmy w Łodzi, było nie tylko teatrem protestu, ale i teatrem niemocy. Bez próby rozwiązań spraw nawet prostych, bliskich

nic nie odpowiadało, niczego — oprócz nauki — od niego nie wymagano, natomiast dano mu to, czego nie miało przed nim żadne pokolenie dwudziestolatków. Może jednak źle wychowano to pokolenie, może zbyt bezrosko, tylko w kręgu spraw młodzieżowych, skoro dziś tacy niemożni, pozabawieni wizji? Przecież to oni za 2-3 lata będą lekarzami, inżynierami, ekonomistami, przecież to oni mają popychać nas w stronę nowoczesności!

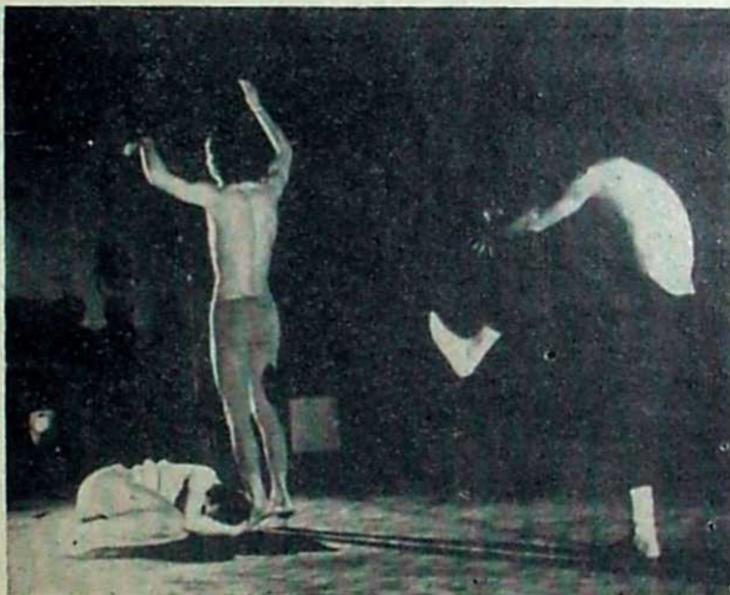
Przy okazji przeglądu odbyło się seminarium na temat teatru studenckiego. Tu już nie było zgodności, lecz tyle opinii, ile głosów. Ze teatr profesjonalny się przelił i że liczy się tylko nie skrupowany niczym studencki. Ze teatr studencki znalazł się w ślepiem zauku. Już nie szokują nikogo spektakle kontestacyjne, a nawet anachizujące, w wykonaniu studentów - amatorów. Dziś widowiska takie wystawiają już teatry zawodowe, z wielokrotnie przy tym lepszym warszatem. Kręcił się filmy kontestacyjne, przy czym produkują je wielcy biznesmeni kinematografii, czyli kapitaliści, bo popyt jest, interes się kręci. Pomieścił miesiącafisk modą na rewolucję, a dateniami do prawdziwego rewolucjonizowania życia społecznego różnica jest taka, jak pomiędzy modnymi drogimi „sierniężnymi” kozuchami i ludowymi strojami z „Cepelli”, a rzeczywistym ubóstwem. Głosy, że patronat ZSP dobija teatr studencki, obawa działaczy i urzędników zrzeszenia, iż aktorzy się wychyli i narobią kłopotów. I że tylko dzięki mecenatowi ZSP możliwy jest teatr studencki. Itd., itd. I głos pewnego lublinianina: czy gdyby nagroda w Łodzi był laur lub dyplom, a nie 40 000 zł i wyjazd za granicę, nie ogladalibyśmy zupełnie innych spektakli? Czy teatry studenckie nie ustalają repertuaru pod kątem festiwalu? A festiwal pod kątem festiwalu?

Pierwszą nagrodę przyznano za „Kolo czy trytyk”, dwie drugie równorzędne za „Jednym tchem” i „Sennik polski”. Indywidualnie: 1) Hejdukowi, 2) Jaszińskiemu, 3) Raczkowski. Brawa konkurowały z gwizdami. Jury postanowiło nie brać pod uwagę teatrów pantomimy, wychodząc z założenia, że dziś mają one mniejszą rolę niż dawniej, gdy przekazywały to, czego nie udawało się słowem. Kierownik jednej pantomimy wskoczył na estradę, sięgnął ręką do kieszeni, wyciągnął dziesięć czerwonych banknotów i oświadczył, że to jego prywatna nagroda dla jury, żeby sobie kupiło bilety na pantomimę. Wszak milczeniem można powiedzieć nieraz więcej — wołał. Jury oświadczyło, że przetrzała nagrodę na odbudowę Zamku warszawskiego.

Potem, w klubie „77”, przysłuchiwałem się rozmowom młodych, długowłosych, łaciato, ale bogato ubranych i przybranych (najmniejsza była broszka w kształcie damskiego sutka, sprzedawana w cenie 20 złotych sztuka) aktorów. Dyskutowano o teatrze, a także — mało kontestacyjnie — o tym, kto gdzie wybiera się po studiach i ję zarobi.

Mam nadzieję, że część utworów pokazanych w Łodzi zobaczymy wiosną w Lublinie.

Romuald Wiśniewski



ST „Gest: „Karuzela” Fot. W. Pietrzyk

sprawy aktualniejsze, bardziej palące, czy też raczej w bardziej dramatycznej formie, w takiej, jaka rok temu, a może nawet krócej wstecz, nie byłaby możliwa. Teatr lubelski i Rożhin budziły powszechne zainteresowanie, lecz zdaje mi się, że w tym środowisku uznani są już niemal za profesjonalistów i za klasyczną sceny studenckiej, godną braw i szacunku, lecz nie dalszych wyróżnień, bo te zatrzymano dla awangardy. Takie było też chyba i zdanie jury, składającego się nie ze studentów, lecz znanych reżyserów i krytyków jak Jerzy Grotowski, Jerzy Jarocki, Marek Okopiński, Konstanty Puzyna, czy Józef Szajna.

Bez większego wrażenia przeszły „Dzieje tratwy Meduzy”, pantomima w wykonaniu „Teatru 77” z Łodzi, według obrazu Teodora Gericault, w reżyserii Jerzego Montaka. Było to coś w rodzaju „Przenikania” w lubelskim teatrze im. Osterwy. Wprowadzi bez nagiej kobiety i nagiego mężczyzny, ale z pozorowanym przez aktorkę aktem erotycznym. Sztuka chciała przedstawić zagubienie współczesnego człowieka w wielkim świecie maszyn, ruchu, tempa, hałasu i przynależności, który ratunek przed tym zwirowaniem widzi w miłości, przyjaźni, i

sprawami dość świeżej daty, sztuka bowiem ma wymowę wielopłaszczyznową, pełna jest różnych politycznych aluzyjnych powiedzonek („trzeba nowego człowieka, żeby wszystko mogło zostać po starciu”), a podobno nawet aluzji personalnych na temat lokalne, przez zamieszko-nych nie odbieranych. Całość lekka i dowcipna, dowodząca zarazem, że władze łódzkie mają poczucie humoru, skoro nie robiły wstrętów.

Poznański Teatr Osmego Dnia pokazał widowisko „Jednym tchem”, przygotowane przez Lecha Raczkę, w oparciu o wiersze Stanisława Barańczaka. Znów coś o człowieku wprzagniętym w tryby współczesności, atakowanym nieustającym nawalem informacji, poleceń, nakazów, zakazów, apeli i hasel. Często przeciwstawnych sobie, stale zmieniających się. Setki spraw bez ciągu fabularnego. „Palisz, płacisz, zdrowie tracisz”. „Zostaw to miejsce takim, jakim chciałbyś je zastać”. „Serca, myśli, czyny”. Nawet plansza z napisem „Chwilowy brak dźwięku” pojawiająca się co pewien czas jest dodatkowa uderka, bo przynosi widok aktorów rzucających się rozpaczliwie jak ryby wyjęte z wody, puszających niemo utamami. Oto człowiek nie mający chwili dla siebie, dla swych własnych myśli, pozabawiany nieustannie swego ja. Muszący przejrzeć swą codzienną gazetę — bo jakże obejść się bez wiadomości w niej zawar-

Jerzy Chłodnicki Zabawa

budzę się i słyszę zgrzyt szabli po piasku i kolegów którzy fechtują uparcie w pudełku po paście szynem zapisany kodeks naszej broni zardzewiał już w ziemi obok leżą helmy i jeden karabin, zabawki zdobyte na wygasłym francie słyszę zza miedzy kucie i pogróżki i gdy się budzę drażni mnie fechtunek

Robot Orfeusz

Jerzy Afanasjew

BYŁ to jeden z pięknych jego wieczorów nocnych, gdy oddalony od wszystkich i codziennych spraw przyjmował tańcząc po pokoju gwiazdy i zasypiał z cichym, a tak odległym w jego oczach światłem. Przyjmował gwiazdy jako najbliższych przyjaciół swoich, pił wodę z nocnym ich blaskiem i choć zima była, otwierał okno, aby swobodnie mogły dostać się do jego pokoju, tańczyć po ścianach, odbijać się od srebra starej cukiernicy, błyśkać na starej ikonie i tańczyć, tańczyć przez całą noc.

Gwiazdy były jego najbliższymi przyjaciółmi, były jego ojcem i matką, jego żoną, jego dziećmi... Nocny jego chleb codzienny sporządzony był także z jasnych gwiazd, jabłka były też gwiazdami, paląca się świeca była ozdobną gwiazdą.

Swemu małemu synkowi ten Robot przed snem opowiadał, że tam het na niebie jest gdzieś jego mała, dziecięca gwiazda, na której pasą się białe baranki; że matka posia-

da na niebie gwiazdę, na której rosną różowe kwiaty, że on sam ma także gwiazdę z rosnącymi tam szumiącymi, zielonymi drzewami. Wówczas syn Robota zasypiał, a on sam — indywidualista — patrzył na ciemne nocne niebo i szukał tych gwiazd, dalekich bram światła do nieznanych pięknych krajin poezji.

I razu pewnego, gdy tak sobie był zasnął, może trochę wcześniej, a zapatrzone w dalekie światła na niebie, ta gwiazda zaświeciła niebieskim blaskiem i u węgłowia Robota stanęła piękna dziewczyna trzymająca w rękach złoto-pióra, srebrny klucz i złote pióro.

— Idź — powiedziała do Robota — a weź ten oto klucz, otwórz nim swoją gwiazdę i wejdź do niej. A ten ptak będzie ci przyjacielem.

Robot przyjął z jej rąk klucz, ptaka i złote pióro, i po promieniu światła poszedł ku gwiazdzie coraz dalej, dalej i dalej... Jeszcze przez chwilę słyszał oddalający się szept nieznanego dziewczyny: „Klucz do otwierania bram, serce, myśli i zagadek — ptak, aby ci było weselej i byś miał skrzydła, a pióro — abyś to wszystko opisał.

Szedł z zamkniętymi oczyma po promieniu światła długo, bardzo długo i dłużej, bo z tysiąc lat świetlnych, a więc przez całą prawie noc swoją, aż doszedł do złotej bramy i zastukał w nią milion kroć razy.

— Kim jesteś? — odezwała się Złota Brama, niesłyszalnym głosem swoich polysków.

— Jestem Robotem — odpowiedział on. — Czy widziałeś dziewczynę, która dała mi ten klucz, ptaka i pióro? Szukam jej.

— Lecz jej nie znajdziesz — rzekła Złota Brama. — Ja jestem tu złotą zębraczką zagradzającą wszystkim drogę i wiedziałabym, gdyby twoja dziewczyna tu wchodziła. Lecz jeśli już chcesz sam przekonać się o tym, wejdź. Zostaw mi tylko kilka swoich łez, abym mogła za nie kupić coś do jedzenia, bo złoto jest tu bez wartości.

W oczach Robota pojawiły się łzy, jako że poczuł się zawiedziony, a gdy wsadził złoty swój klucz w Złotą Bramę, ta rozpadła się na miliard złotych nitków, które kosmiczny wiatr porwał w nieskończoność ciemności.

I oto Robot wszedł do miasta zamieszkałego przez gwiazdy, którego domy samoistnie wyrastały z nasion; było tu

ciemno, lecz gdy zmienił kolor swoich oczu natychmiast dostrzegł nieprzebrane bogactwo barw, pięknych mozaik i reliefów, którymi pokryte tu były domy. Istoty tutaj zamieszkujące, Gwiazdeczki, nosiły dziwne okulary przepel-nione wodą a niewidzialny w wiecznej ciemności kosmosu — blask przechodzący przez nie, niby poprzez ziemską atmosferę, stawał się dla tych istot barwą. Robot zauważył, że okulary bywały u nich różnorakie, i ile razy sam przekręcał kontakt barw własnych oczu, różne ich kolory pozwalały mu odczytywać nieprzebrane mnóstwo ukrytych na domowych elewacjach rysunków, które dostrzegało się tylko poprzez różnobarwne filtry okularów.

Robot szedł ulicą Nieulicą, w ogrodach rosły kwiaty Niekwiaty całe ze światła, a na ekranach okien rozświetlonych ludzkimi myślami dostrzegał najbardziej intymne, skryte marzenia ich mieszkańców Niemieszkańców.

Z nieba padał kosmiczny śnieg. Niemieszkańcy chodzili trzymając nad głowami opancerzone parasole. Robot schronił się do jednego z rosnących jak drożdże domów i oto już szedł labiryntem pałacowych sal o ścianach i plafonach wyłożonych jakby trójwymiarowymi zdjęciami krajobrazów, a posadzki wyglądały tu jak widok miast oglądanych z wysokości, że aż kręciło mu się w głowie.

I oto znalazł się w dużej sali, pośrodku której stał piec Rośniczek, do którego sypano Wielkie Drożdże, powodujące samoistne rośnięcie tego budynku.

— Rośniczku, Rośniczku — odezwał się Robot. — czy dostrzegłeś oby gdzie dziewczynę o jasnych jak len włosach, która podarowała mi ptaka, klucz i pióro?

Piec milczał, bo przecież na dobrą sprawę piec nie rozmawiają, choćby nawet w bajkach były... Rośniczkami.

— więcej po co nas oszukujecie dziś swymi bajkami? — rzekł Robot — i żelazną dłonią zgruchotał szyję złotemu ptakowi, kluczem złamał sprężynę w swoim sercu, a piórem złotym nie zdążył już nie napisać...

I znów mieszkał tam, gdzie porzednio, nocami patrzył w gwiazdy, ale złota dziewczyna — już do tego poety nie przyszła...

Dereś

Andrzej Łuczeńczyk

NATURNY był Dereś, ani słowa, ale że tak się to wszystko skończy, nawet nie przewidywaliśmy. Bił go przecież Franek często, i to nie tylko Franek, bo czasami wszyscy schodziliśmy się i tłuściliśmy go szufłami (a plantówek nie mieliśmy, tylko szufle jak trza, osiemnastki, z pięćdziesiąt razy dobrze gibnąc i wóz naladowany), a on tylko dęba stawał i tańczył, ale w końcu zawsze jakoś ruszał. Czy to od bicia, czy to od ognia, który pod nim rozpalaliśmy, ale ruszał. A teraz zabił go Franek na śmierć. Tylko parę razy uderzył po zadzie, i zaraz jak nie zacznie walić w leb... Jakby coś wstąpiło w niego. Ale zanim się to jeszcze wszystko zaczęło, każdy z nas przestał ladować i tylko patrzył na to, co robi Franek. A on nie, tylko ladował. Naladował tyle, że nie tylko jeden, ale i para koni w tym piachu by zaległa, i ladował jeszcze więcej.

Staliśmy przy swoich wozach i patrzyliśmy. Wreszcie Franek skończył z ladowaniem. Omotał lejce na kłonicy, bat, co leżał przy nim, na ziemi, odrzucił nogą i zwał w rękach szufel.

— Wio.

Jeszcze nigdy Dereś nie próbował brnąć tak, jak teraz! Prawie, że złożył się na ziemi, w wozie coś trzeszczało, ale kola chybnęły się tylko i jeszcze mocniej zaparyły w piachu. I wtedy Franek zaczął bić. Dereś naprężył się jeszcze mocniej, dygotał cały. Jakby to na lodzie było, tak padł na kolana i zarył łbem w piach, kiedy Franek pierwszy raz sięgnął go między uszy. Bił już teraz tylko w leb. Zaciekle, z wysoka spuszczał szufel. Dereś podrywał się coraz słabiej, aż wreszcie zaległ całkiem. Franek uderzył wtedy jeszcze parę razy, jeszcze mocniej i szybciej niż do tej pory. Naraz cisnął szufel i zwrócił się do nas. Pochylił się, już, już na nas ruszy... Ale zakręcił się, skoczył przed siebie i prosto przez wykop pognał do Jabłońskich, tam gdzie mieszkaliśmy.

Patrzyliśmy za nim jakiś czas, a potem wolno, ale tak wszyscy razem, obstailiśmy Deresia. Naturny był, ale i twardy. Leb prawie rozwalony, a jeszcze się podrywał. Jedno ucho trzymało się tylko na kawałku skóry, i z tego odciętego ucha zeszło więcej krwi niż z całego rozbitego łba.

— Co tu, chłopaki?

Aż drgnęliśmy wszyscy. I chybnęliśmy się w tył, jakbyśmy chcieli odskoczyć od Deresia. To Bogdan, brat Franka, przyjechał dopiero teraz od nasypu (rozwora mu się poluzowała i musiał poprawiać) i rozglądał się po nas. Dojrzał Deresia. Wzdrygnął się, jeszcze raz spojrzal na nas, ale tak szybko, i jakimś takim śmieszonym biegiem przypadł do konia. Przyklepnął, przesunął rękę po łbie, rozgarnął grzywę, popatrzył na furę, a potem wolno podszedł do nas. Schylił się jeszcze, wziął w garść piachu, obtarł z krwi ręce i otrząpał o portki.

— A Franek... gdzie?

— Poeci... — odpowiedział mu któryś z nas.

— Do Jabłońskich... — dodał ktoś inny.

— Aha... Chodźcie, chłopaki — powiedział po jakimś czasie Bogdan. — Śladzimy trochę...

Wyleźliśmy z wykopu i usiedliśmy. Nasze konie, tam na dole, boczyły się na Deresia, grzebały i chrapały. Zapaliliśmy. Widać stąd było ten nasyp, na który woziliśmy piach. Patrzyliśmy tam. Paliliśmy i patrzyliśmy.

Ważna to miała być droga, oj, ważna. Aż za granicę miano tędy jeździć. Na takiej drodze to na dobrego konia i na dobrego wóz ze dwadzieścia metrów można będzie naladować. Komu to kiedy do głowy przyjdzie, że dawniej tylko grobla tutaj była, i to taka, że ledwo, ledwo przejechać. Teraz, jak myśmy zaczęli piach wozić, było jeszcze gorzej. Nie też dziwnego, że samochody tych letników z miasta, co to nad jeziorem te kolorowe domki mieli, grzęzły w piachu i buksowały. W każdą sobotę po południu ładne parę złotych wpadło do kieszeni przez te samochody. Czasem to nawet lepiej opłaciło się stać z koniem i czekać, aż któryś letnik ugrzeźnie, niż piach wozić. Różnie się brało za takie wyciągnięcie samochodu, ale przeważnie to po pięćdziesiąt złotych. Ale czasem zaśpiewało się i stówkę. To zależało od gościa, który tam siedział. Nie, ja nie mówię tutaj o tym, że jeden wyglądał na bogatszego, a drugi na biedniejszego, nie. Po jego uśmiechu widziało się, ile z niego wzięć. Bywało przecież czasem i tak, że groza się z kogoś nie wzięło. Aż głupio się jakoś robiło, kiedy taki sięgał do kieszeni i pytał się, ile, a tu odpowiadało się, że nie. Jemu też robiło się wtedy trochę głupio, ale nigdy nie tak, jak nam. No bo czy nie mógł sobie taki pomyśleć, że spoufalił się z nim chcemy, albo też jeszcze co innego? A tu przecież wcale nie o to chodziło. Jednej soboty to aż czterech takich mi się trafiło. Cholera, myślę już sobie, jak będzie się pytał, ile, to powiem mu dla spokoju, że dwadzieścia złotych i już... Ale nie powiedziałem. Przyszło mi do głowy, że będzie to wyglądało tak, jakbym albo ja działował, albo jego za dziada uważał. A po co to? Lepiej już czuć się trochę głupio niż tak, jakby ktoś z litości nie dał w gębę, tylko kopnął w dupę.

Ale takich było mało, bardzo mało. Przeważnie to tacy za pięćdziesiątaka; placili — robiło się — i cześć. No i byli, rzecz jasna, jeszcze te fagasy za sto złotych sztuka. Aż człowiekowi coś pikalo w środku, żeby go rypnąć w zęby za ten uśmiezek! A plunął mu się znów pod nogi chciało, jak wyciągał te stówkę i podawał ją w dwóch wyciągniętych palcach. Taki ewok do końca życia nie zapomni tej forsy, do końca życia będzie rozpowiadał, jakie to te wiejskie chamy lasę na pieniądze. Smrodami takich śmy nazywali, smrodami i niczym więcej. Bo też i byli dla nas jak smród, co jak przeciągnie obok, to nas wykręci i na ryganie zbierze, ale więcej poza tym nic. Już na drugi dzień nie mogliśmy chyba poznać któregoś z nich, ich gęby stawały się nam jedną, która była gębą każdego z nich, ale my wiedzieliśmy dobrze, że gębę każdego z nas to oni zapamiętują na całe życie. Ze jak zaczęła czasem rozmawiać o nas między sobą, to na pewno nie pomylił mnie z Witkiem, a Witka z Olesiem. Wbijaliśmy się im do łba na zawsze.

Ten samochód przejeżdżał już trzeci raz, ale nie zakopał się jeszcze nigdy. Inny też był niż cała reszta, takiego jeszcze nikt z nas nigdy nie widział. I takiego, co nim jechał, też jeszcze do tej pory nie spotkaliśmy. Poznaliśmy go dopiero dzisiaj, ot może jakieś pół godziny temu, kiedy to wysiadł i pogadał sobie z Frankiem. I z nami też, bo choć do nas zbytnio się nie odzywał, to pogadał sobie i z nami. Tak, pogadał sobie z nami dobrze, nie ma co...

Akurat Franek nadjechał właśnie z piachem, kiedy zobaczyliśmy ten samochód. Był jeszcze daleko, ale od razu poznaliśmy, że to ten.

— Ej, chłopaki!

— Znowu jedzie!

— On, to cholera, jak czolg przez wszystko pojedzie.

— E, tam. Zwalic mu cały wóz pod koła, to na pewno stanie.

— Franek, a zwal no tu!

— Gdzie?

— A tu! Na sam przejazd! Zobaczymy, czy taki mocny! Ciekawe, co za nigus nim jedzie?

— Zwalaj, Franek! I tę jego babę przy okazji obejrzymy!

Bo my przygadywalimy czasem tym dziewczynom, co siedziały w samochodach. I z niektórymi to się na przygadywaniu wcale nie kończyło. Od razu można było przyuwać, jak któreś aż oczy błyszczyły, jak patrzy na któregoś z nas. Na gębę spoglądała rzadko, przeważnie na piersi, ramiona i plecy. Bo co prawda to i prawda, i opaleni byliśmy na brązowo, i muskułów też mieliśmy więcej niż ci z miasta. Jak tylko któryś z nas przyuwał, że taka bardzo mu się przygląda, od razu po robocie szedł nad jeziorem. Ludzi na brzegu sporo, kto wie, czy by ją znalazł, ale ona jego znajdowała zawsze. Sama znajdowała, przysiadła się i zaczęła rozmawiać. Można było gadać największe głupoty, a ona siedziała i słuchała, zupełnie tak, jakby tylko czekała aż się ściemni. Bo dopiero wtedy godziła się iść do lasu. I to nie razem, o nie. Najpierw trzeba było iść samemu, a ona przychodziła później. Tak samo i odprowadzić się żadna nie pozwoliła. A już całkiem dziwne było to, że na drugi dzień, w niedzielę, to wydawało się, że wielką laskę człowiekowi robi, jak parę słów na plaży powie. Zaraz wtedy zresztą odchodziły, przysiadły się do tych z miasta. Zupełnie tak, jakby wczoraj wieczorem nie między mną a nią nie było.

Wszystkich nas zaciekawilo, co to będzie teraz. Franek stracił wozem, wjechał w przejazd i dalej rozsuwał i wyciągał drążki. Ale nie zdążył zyspać nawet połowy, kiedy ten samochód zatrzymał się już za nim. My stoimy z boku, niby poprawiamy tam coś przy wozach, ot tak jakby nigdy nie. A Franek dalej rozsuwa drążki i zasypuje piachem przejazd.

Ten z samochodu wysiadł wreszcie. Wysiadł, rozejrział się tak, jakby nikogo i niczego dokoła niego nie było, przeciągnął się, że mało mu krzyż nie trzasnął i ziewnął. Po niebie zaczął się rozglądać. A my popatrzaliśmy so sobie; taki jeszcze nigdy się nie zdarzył... Franek też zerknął przez ramię raz i drugi i popatrzył na nas. Słyszał przecież, że samochód zatrzymał, że ktoś wysiadł, a tu nikt do niego nie podchodził.

Tamten ruszył się wreszcie. Wyglądało to tak, jakby otrząsnął się z tego rozglądania się po niebie. Zapalił papierosa i wolno podszedł do Franka. Stał. Zajął na piersi ręce i patrzył, jak Franek kończy już opróżniać wóz. My niby to na nich nie patrzyliśmy, ale widzieliśmy wszystko. A Franek... Franek patrzył już tylko na to, co robił, już nie zerkał do tyłu ani na nas.

— Ale lopaty to pan nie wziął?

To ten z samochodu tak się raptem odezwał. Stał z założonymi rękami, palił papierosa i patrzył na Franka. A Franek wyglądał tak, jakby nie wiedział, o co chodzi. My też zresztą nie wiedzieliśmy. Ale było nam jakoś tak, jakbyśmy zrobili coś złego i jeszcze tym razem zostaje nam to darowane.

— Lopaty?...

— No, a czym pan to rozgarnie? Rękami?

Nie poruszył się żaden z nas. Franek patrzył na nas, a my patrzyliśmy gdzieś w ziemię. Tak, gdzieś w ziemię, bo w żadne miejsce na tej ziemi nie.

— Wy też nie macie lopat?

— Nie...

— Nie mamy...

— Mamy, ale w wykopie...

— No to... Zresztą można i tym — czubkiem buta trafić drążek i do Franka: — jeszcze jeden niech złapie za drugi koniec i rozgarniecie. — No — spojrzal na nas ten z samochodu i kiwnął głową. Tak na wszystkich. Podskoczyliśmy też wszyscy. Maniek stał najbliżej, i on złapał drugi koniec drążka, który trzymał już Franek.

— O, właśnie tak — powiedział ten z samochodu, kiedy zaczęli już rozsuwać. — Tylko trochę szerzej.

I odwrócił się i odszedł.

Wtedy wysiadła ta panna. Też przeciąg-

nęła się, powiedziała coś do tego, który z nią był, i oboje roześmiali się. My staliśmy z boku, ale tak nam było głupio bez jakiejś roboty, jak jeszcze nigdy.

— Ładny, prawda?

Spojrzelśmy na tych dwoje. Panna pokazywała na Deresia, który wyglądał szyję w kablak i zaczął grzebać. Zaraz znowu będzie z nim mordęga.

— Czyj to koń?

— Jego — pokazaliśmy na Franka, bo Franek rozsuwał piach i nie widział, że ona pokazuje na Deresia. Dopiero jak powiedzieliśmy „jego”, podniósł głowę i rozejrzal się jakimiś takimi rozbieranymi oczami.

— Ładny koń — powiedział do niego ten, co stał z panną.

— Aha... — i chyba dopiero teraz pojął, że mówi do tamtego pochylony i trzymając drążek w rękach. Puścił go, strzepnął ręce o portki i wyprostował się. — No, mój koń...

— Dobry chyba jest, co?

— Aha...

— Patrz, patrz! — krzyknęła panna i złapała za rękę tego, co z nią stał. Pokazywała na Deresia. A ten wygiął szyję w kablak jeszcze mocniej i przednią nogą, prostą w kolanie, bił o ziemię. — Prawie jak cyrkowy, prawda? — I do Franka: — można do niego podejść?

— Można...

— A nie kopnie?

— Może kopnąć...

— Och! — cofnęła się.

— Lepiej nie podchodzić — powiedział ten, co z nią stał. — Ale ładny to, cholera, jest.

Co, skończyliście?

— My zaraz...

Już prawie kończyli. Jeszcze parę razy przesunęli drążkiem po piachu, odsunęli się i popatrzyli na tego przy samochodzie.

— Dobrze.

Wsiadli i pojechali. Nawet tyłem nie rzucilo. A my patrzyliśmy za nimi. Patrzyliśmy jeszcze wtedy, kiedy już skręcili nad jeziorem. Dopiero wtedy zesłaliśmy się i ktoś odezwał się pierwszy.

— A to cholera, no...

— Ciekawe, co to za jeden?

— Dyrektor chyba jakiś...

— Albo ważny doktor...

— Do takiego się odezwać, to by dopiero załatwił...

— Najpierw by w zęby dał, a później też by życie umilił...

— I jak to nie wiadomo, na kogo można trafić...

— Uważać trza nam teraz, oj, uważać...

Jechaliśmy do wykopu i tak niegłośnie pogadywaliśmy sobie.

— A Dereś jak im się spodobał, co?

— E, gównu on się tam zna na koniach...

— Cicho!

— Co ty!

— Nie bój się, taki na pewno się zna...

Franek jechał pierwszy. Nie odzywał się nic. Patrzył tylko cały czas na Deresia, któremu już przeszło i szedł teraz całkiem spokojnie. Aż tu raptem Franek jak sięgnął go batem, a zaraz znowu... Pouchaliśmy. A Franek już do samego wykopu lepił Deresiowi baty. Mocno zdzierał go lejcami, nie popuszczał w kłus i jakby zupełnie bez żadnej złości co parę kroków lepił mu bata. Nie odzywał się nawet słowem i przez ten czas, co ladował. Nie przystanął też ani razu. Ustawiał się tylko tyłem do nas i ladował równo, bez przerwy...

— Piąta prawie — powiedział nie wiadomo do kogo. Bogdan. Rzucił papierosa i wstał. — No nic... Co się stało, to się stało, ale myślę trza zawsze. Przebiore się i pojedę do weterynarza. Już nie urzęduje, ale to nic. Dam mu ze dwa tysiące, to może i wystawi świadectwo, że Dereś padł...

— Wystawi...

— Za dwa tysiące wystawi...

— Jak nie będzie chciał, to dam mu i trzy. Za trzy wystawi na pewno. Zawsze jeszcze te dwanaście ubezpieczalnia zapłaci. A wy nie rozchodźcie się później nigdzie. Posiedzimy trochę razem, wypijemy...

Sukcesy bez fanfar

Maria Bechcyc-Rudnicka

EFEKTOWNE poczynania i zamierzenia kierownictwa teatru dramatycznego odwróciły w ostatnim kwartale naszą uwagę od innych scen lubelskich, nie budzących żadnych niepokojów. Powetujemy krzywdę najsamplawiejsze scenie lalkowej, na której przez ten czas odbyły się aż trzy premiery. Nie ma wszak przedawnienia, albowiem wszystkie trzy pozycje cieszą się niestabną frekwencją, pozostając przeto nadal w repertuarze Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena. Zaiste dyrektor Ochmański posiada o-prócz talentu reżyserskiego — jeszcze rzadszy talent planowania repertuaru. I chyba dlatego też ma tyle sukcesów, że myśli serdecznie o ludziach, którzy przyjdą do jego teatru — o tak różnych ludziach: i o tych zupełnie małutkich, i o całym już dorosłych.

Sezon rozpoczął się tu ładnie bajką Maril Kossakowskiej i Janusza Gawełwica pt. „Tajemnica Wysp Hebanowych”, napisana według dwóch „klechd sezamowych” Bolesława Leśmiana oraz „oryginalnych baśni perskich”. Widowisko, w reżyserii Gawełwica, ze scenografią Dariusza Różyckiego, na tle muzycznym Zofii Stanczewy, daje obfity pokarm fantazji widzów w „średnim wieku” dziecięcym. Poetyckie jest na wskroś, choć tekst, mówiony prozą Leśmiana, tylko gdzieś gdzieś okraszono jego wierszem, oryginalnym bądź „pod Leśmiana” stylizowanym. Sama treść owych klechd pozwala jednak inscenizatorom rozwinąć skrzydła do lotu. Ponieważ czytelnik na pewno ją zna, tedy naśladować Pana Jowalskiego, poprosimy o posłuchanie — przy najmniej początku.

Kiedyś, w pradawnych czasach, gdzie — na Bliskim Wschodzie, panował mądry i potężny sultan Sulejman (u Leśmiana — król Salomon), który przeczytał wszystkie księgi i nauczył się wszystkich zaklęć. Nie posiadał go to normalnego apetytu, ale lubił w menu urządzić, i oto blaha cucha powoduje, jak niekiedy w życiu się zdarza — wielkie następstwa. Pewien rybak — pecho-

wiec, którego sieć wygarniała z morza li tylko nudne wodorosty, wyciągnął nagle z dna morskiego szczerbie zamknięty miedziany dzban. A w dzbanie osadzony był pod pieczęcią Geniusza („Ladzie nigdy nie wierzą geniuszom” — pisał Leśmian). No i tamten Geniusz, w nagrodę za wyzwolenie, ma przysporzyć rybakowi niestychających bogactw, pokazując mu jezioro wśród Wysp Hebanowych, w którym żyją cudowne ryby: niebieskie, czerwone, białe i żółte. Z czterema kolorowymi rybami pojździe rybak na dwór sultana, gdzie za każdym razem otrzyma sto dukatów. Tak się też stało i w tym wypadku, bo bez cudu spłynęła rybakowi złota, bo kucharz dworski przyjął wafelki. Konflikt duchowy podobny do dramatatu. Sulejman zaś brakuje rybakowi, Sulejman zaś specjalnie upodobał sobie dania rybne, tymczasem kucharz wschodni, widocznie niechętny, nie chce wydać rybakowi Wielkiego Kondusza, miast po rybacku przedać się bez zwłoki szpada, wyłożył zwyciężającemu wesołość, wyczerpał z koleji sultanowi, a tymczasem nadzedł wspomniany rybak z kolorowymi rybami. I byłoby po kłopotach, gdyby nie tajemnicza piękna pani, która wargawęszy przez mur do kuchni cisną ryby z patelni wprost do ognia. Hłobowa wiedza powędrowała utworzona droga: od kuchara do wozu, od wozu do sultana. Sulejman, jak się rzekło, był mądry, kazał więc przywołać rybaka i tak, od niego do kłębka, zbadano wspólnymi siłami tajemnicę Wysp Hebanowych, lecz nie ze sprawkami królów Chrystezy, opisany w drugiej klechdzie sezamowej.

Barwne perypetie obydwu bajek ujęli inscenizatorzy, zgodnie z życzeniem adaptatorów, w ramy „opowieści karawanseraju”. Niby opowiadają je sobie z inicjatywą sędziwego Derwisa, jako przegdy z lat młodych, zeszali już: Rybak, Kucharz, Sultan i Król, Nocą, kiedy milknie nawet głos muezyna na minarecie, — przemówiły w ciszy pachnącej jaśminem głosy ich serc, ku przestrodze i nauce innych”.

A nauka brzmi: „Wy, tu obecni, pamiętajcie o tym, że gdzieś na świecie, głęboko ukryte, czai się zło. Strzeżcie się więc zła, kryjąc się, bo nie znacie ani dnia, ani godziny, kiedy je ręka ludzka nieopatrznie wywołicie może”.

W oryginale bajka Leśmiana kończy się sądem sprawiedliwym lecz okrutnym. Inszenizatorzy wprowadzili (i słusznie) kompromisowy happy end: zamknięto metaforycznie „perłę zła” w muszli, wrzucając ją na dno morskie.

Do sukcesu widowiska przyczynili się utalentowani animatorzy: Janusz Fifowski (Król), Fred Kosmala (Sultan), Kazimierz Lutomski (Rybak), Wojciech Kobrynski (Derwisz), Konrad Saschrowski (Kucharz i Wozny), Andrzej Jódwiczki (Malarz-Lubomski i Zofia Janicka-Tabaj (Niewolnice), a zwłaszcza Liliana Ochmańska, która przekazała postaci Chrystezy dużo niebezpiecznego czar.

Następnie zaprezentował Teatr im. Andersena komedię Jana Wilkowskiego, ulubienicą nie tylko dzieci, ale i dorosłych telewidzów, którzy z przyjemnością oglądali jego serial o Uł z klasy 7-b. Tymoteusz Majsterklepka” to już spektakl adresowany do przedszkolaków — im się przecie też coś od życia teatralnego należy. A więc dużo było śmiechu z prościutkich figl Misia Tymcia, który pod nieobecność taty, mistrza samochodowych usług naprawczych, zaprzęgnął „zreperować” wóz pewnej damy-turystki. Z rozbiórka poszło, jak się to mówi „w tri miga”, atoli ze złożeniem aniruz. Moral by z tego i dla dorosłych wyciągnąć się dało, co dopiero dla malców, pasjonujących się zagładaniem „do środka” rzeczy.

Wyreżyserował sztukę z niemałym nakładem inwencji Stanisław Ochmański. Skromna, funkcjonalna scenografia opracował Andrzej Ekmund, autorem przyjemnej muzyki jest Jerzy Dobrzański. Grał: Alina Sternik, Kazimierz Tajta, Halina Lobaczewska, Wanda Wilhelm, Sylwia Szachnowska i Regina Załuska, której Lis był szczególnie atrakcyjny. Bravo też dla reżysera za wyposażenie Lisa w „żywe” reze. Skłonna jestem uważać białe rekawiczki intrygującego rudasa za metaforę. Zabawnie także rozegrano scenki z misiami-lubuziakami, „uruchamiającymi” samochód na swój sposób.

Szczytowym sukcesem pierwszego półrocznego sezonu 1971/72 w Teatrze im. Andersena stało się widowisko, jak na scenę lalkową — monumentalne, pt. „Szewce Kopytko i Kaczor Kwak”, wg tekstu Kornela Makuszyńskiego. Własną adaptację dramatyczną wyreżyserował Jan Wilkowski (w tym miejscu miło nam odnotować zwiększającą się ostatnio częstotliwość współpracy Wilkowskiego z lubelską sceną lalkową).

Kilka miesięcy temu, przy okazji Spotkań Teatrów Lalek Polskiej Wschodniej, wypowiedziałam się w artykule pt. „Nie robie z lalki rekwizytu” przeciwko szerzącej się dalsz, niestety, tendencji do wyżywiania się animatorów-zawodowców w amatorskiej grze aktorskiej z nieruchawą lalką w ręku. Bo są przecie inne, dużo sensowniejsze możliwości rozwijania ruchów aktora lalkowego ponad funkcję wyłącznie orzekawczą. Na przykład, kiedy aktor sam staje się lalką, przejmując na siebie, wraz z jej głową i kostiumem, charakterystyczne ją ruchy. Jest to jakby coś zbliżonego do teatru masek, lecz tylko pozornie, ponieważ przywdziawszy maskę w teatrze dramatycznym aktor,



„Tajemnica Wysp Hebanowych” wg Bolesława Leśmiana

Fot. W. Parys

udziwniony, odcina się ostentacyjnie od rzeczywistości, podczas gdy animator wcielający się w lalkę czyni to celem skuteczniejszego włączenia do realnego życia.

Proceder ten najwymowniej zaprezentował na wrocławskim Międzynarodowym Festiwalu Festiwalu Teatrów Studentek w r. 1969 amerykański zespół Bread and Puppet Company. Cieszy mnie ogromnie, że Wilkowski zrealizował analogiczną koncepcję, tym bardziej cieszy, że głowy wykonane w pracowniach Telewizji Warszawa, według projektów Adama Kiliana, są pełne wyrazu.

Kardynalną zaletą spektaklu Jana Wilkowskiego jest nieustanny ruch — na scenie, na proscenium, we wszystkich przejściach widowni. Młodociana publiczność włącza się raz po raz do akcji. A w pewnym momencie rozwiiera się skrzydła centralnej części tryptyku i zaczyna się teatr bajkowej iluzji z tradycyjnymi postaciami: Króla, Królowy, Ministrów (odzielnych tym razem we fraki). Nie szkodzi, że przedtem krzątała się na scenie autentyczna działka szkolna (ze Szkoły Nr 12 w Lublinie), umieszczając wszelkie akcesoria zagrody chłopięcej — Wilkowski celuje w harmonijny łączeniu różnych planów przedstawienia. Podziwiamy zarówno „żywego” Kaczora, stylizowanego na carykowskiego kłowna, jak ruchy „sztucznej” wiewiórki, poruszanej z wirtuozerią przez animatora zza kulis, czy trzępotanie się ślicznie odrobionych ptaszek, pod pulapem. Trzeba było doprowadzić wszystkie

elementy widowiska do perfekcji, by osiągnąć tak nienaganną całość. Słowem — na pewno nie będzie przesadą, gdy powiemy, że dokonania artystyczne Państwowego Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena wyznaczają mu poczesne miejsce wśród polskich teatrów lalkowych.

Teatr im. J. Osterwy również pamięta o młodocianych widzach oferując im w bieżącym sezonie widowisko pt. „Pazlowie Króla Zygmunta” według scenariusza Kazimierza Brauna, który wykorzystał, jak informuje program — tytuł i fragmenty książki Antoniny Domańskiej, wyjątki z pism politycznych Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Łukasza Górnickiego, nadto — wiersze Jana Kochanowskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Hanny Januszewskiej i Anny Świrszczyńskiej.

Wyreżyserował „Pazłów” sam Braun, elementy scenograficzne zaprojektowała Teresa Targońska. W widowisku biorą udział aktorzy: Paweł Nowicki (Stachuś) Henryk Sobiechart (Paź, Mikołaj Ostrowski), Ryszard Kolasyński (Król Zygmunt Stary), Jerzy Smółński (Ryśki, sekretarz królewski), Kazimierz Śliedziński (Mistrz Hans Ludwisarz), Stefania Cybulska i Maria Szczepanińska (Przekupki).

Właściwie nie jest to teatr dla dzieci, w ścisłym sensie terminu, tylko zabawa dzieci w teatr. Ale zabawa dydaktyczna, łącząca przyjemne z pożytecznym, dzięki pomysłowym konkursom na znajomość historii, z nagrodami w postaci powierzenia zwycięzcom ról króla, królowej, paziów i dam dworu.

Impreza cieszy się dużym powodzeniem.

Okolice sztuki

„Liczę na waszą pomoc”

W „Myśliwskiej” od czterech miesięcy nie ma już wódki — sprawa Ligi Kobiet — więc lokal pusty, kilku chłopaków sączy kolejną flaszkę vermouthu, który w tej chwili, w czasach posuchy, stał się pierwszym alkoholem Niedźwicy Kosielskiej. Pito też już nie ma, 37 zielonych transporterów szczyrzy się pustymi butelkami. Za

oknami ciemno, w okienku kuchni ziewa szezo-

wa.

Nad wejściem na zapleczu wisi reprodukcja malarskich kwiatów, wisi tak wysoko, że ledwo co widać, ale to chyba rzecz od Renoira.

— Kierowniczką kupiła w Lublinie — wyjaśnia bufetowa.

Na bufecie jastrzęb wypchny drzemie, nad nim jakiś inny ptak, też pięknie nadęty, na honorowym miejscu, w pełnym otępieniu skrzy się upierzenie.

— To od myśliwych z Niedźwicy Dużej.

W sąsiedniej sali kilku młodych schyla się nad „Okieciem”, nad nimi, na ścianie i nisko, wisi duża reprodukcja martwej natury Cezanne’a. Zgeometryzowane jabłka, napięte rytmy: „sposoby są dla nas tylko zwykłymi środkami, pozwalającymi, by publiczność odczuwała to, co my sami odczuwamy i aby nas uznała. Wiele, których podziwiamy, nie robili chyba nic innego”. Tak pisał Cezanne do Emila Bernarda w 1896 roku. W 1971 r. w gospodzie „Myśliwska” we wsi Niedźwica Kosielska poligraficzne echo cezanneowskiej rewolucji niknie w ścianie niedostrzegalnym ornamentem.

— Reprodukcja? A bo ja wiem... Kierowniczką kupiła.

Wypchane jastrzębie skutecznie atakują „Martwą naturę”. Ale są to piaki pozytywne, bo niszczą myszy polne, które podgryzają korzonki czterech zbóż podstawowych.

Pierwsza w kraju powiatowa galeria sztuki w PDK w Betycach, niedaleko. Kilkanaste obra-
zów na korytarzu pierwszego piętra, w dwóch równoległych szeregach, tworzą w twarz. Niektóre,

te w pobliżu kaloryferów, lekko zwiechrowane, oj, bardzo lekko, prawie nie widać. Kilka płócien w sali klubowej. Jakis chłopak wpatrzony w telewizor. Pusto, schludnie, ciepło.

Na jednej z pamiętkowych fotografii, pozostałych po galowym otwarciu galerii, śmieje się Zenon Kononowicz, już mocno pochylony chorobą, dalej czuły na objawy publicznego uznania, choć nigdy ich nie wymuszał. W nekrologach napisano, że malarstwo było jego pasją, a przecież w tym głębokim zaangażowaniu Kanona w sprawę sztuki już kilka lat przed śmiercią rozwarła się szczylna zwątpienia. Wiedząc, że zbieram materiały do artykułu o nim, przysłał mi list, w którym radził, abym opublikował coś np. o Rasputinie — kogo interesuje dziś malarstwo?

Styczeńowe popołudnie w sali lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych. Na ścianach wiszą wielkie płótna warszawskiego artysty: próby poetyckiego opisu niepokojów współczesnego człowieka, czynione przy pomocy nader przejrzystych symboli i dramatycznych konfrontacji motywów — dwie małe i nagłe sylwetki ludzkie na nieobjętych przestrzeniach... „Kompozycja Kosmiczna”, „Bieg Epoki”, „Na Przeciu Wielkom”, „Preludium Nowego Zycia” — pretensjonalne tytuły naprowadzają na intencje autora, który usiłuje osądzić świat dzisiejszy z pozycji zagniezonego humanisty. Jeden widzi, w futerku z przegowanych kotów, szybko „zalicza” obrazy. W sąsiedniej sali Klubowej grają w brydża, może w preferans, może w turnia, może z nudów. A pan Dudak z zimną kwią wieszka kolejnego „Kulisteleca”.

Przed witrzyną księgarni MPiK w Lublinie pochyla się Wiktor Ziółkowski — jakie miasto może

pochwalić się taką postacią? Żadne. Kiedyś Hartwig sportretował Ziółkowskiego i był to wizerunek przemijającej epoki: pełnej wiary w nieprzemijalność sztuki, z nieco ironicznym, lecz w końcu życzliwym uśmiechem obserwującej szamotanie się współczesnych artystów.

— Widział pan — wskazuje na obwołaną zbeletryzowanej monografi Modiglianiego, pióra Pierre Sicchela, na której widnieje akt kobiecej. — To Hanka Zborowska, żona Leopolda. Piękna kobieta. Uczyła kiedyś geografii w lubelskim gimnazjum Czarnieckich, była bardzo surowa dla uczniów. O, to była piękna kobieta. Idę do znajomych, może mają jakieś dokumenty tego gimnazjum.

Poszedł w kierunku pierwszych lat naszego wieku, lecz nie znalazł już śladów po byciu w Lublinie Hanki Cirowskiej-Zborowskiej, córki starej szlacheckiej polskiej rodziny, dziewczynki o urodzie Madonny, kształcącej się na nauczycielkę, która pozwała Modiglianemu w paryskim mieszkaniu meła, jedynego i nieszczonego marszanda autora portretów Luni Czechowskiej. Czy ktoś w Lublinie pamięta jeszcze Hankę Zborowską?

Wszystko byłoby jasne, gdyby nie ten list, który nadszedł do redakcji z osady Klementowice w powiecie pulawskim: „Zwracam się do was prosiąc o skontaktowanie z artystą plastykiem, który udzielał mi płatnych lekcji z malarstwa i grafiki... Malarstwo jest moim hobby, któremu ostatnio postanowiłem poświęcić więcej czasu. Liczę na waszą pomoc”.

Zart? Jeśli nie, proszę odwiedzić redakcję.

IJK

List z Warszawy

NIK jest to jeszcze Las Vegas, z którego Violetta Villas porwała białym „Mercedesem” z kilkoma kufkami toalet, ale — nie narzekajmy! Podobno najtrudniejszy jest początek. Ten zaś uczyniły Zjednoczone Zespoły Rozrywkowe, otwierając w stolicy — pierwszy w naszym kraju — ośrodek automatycznych gier, w którym obok automatów zręcznościowych pomieszczono na górnych piętrach kawiarnia „Stylowej” przy Pl. Konstytucji kilka „jednoręcznych bandytów” — automatów — ruletek, gdzie za seton wartości 3 złotych można (przy maksimum szczęścia) wygrać równowartość tej stawki pomnożonej przez 299.

Moż złoci — byłem na inauguracyjnej konferencji prasowej i muszę powiedzieć, że jest to ubaw po pachy! Powadzi, zbawozani, przyproszeni sielent panowie, koleżanki, których nikt nie poznałby nawet o to, że mogą pisać o czym innym jak tylko o koncercie w gmachu na Jasnej, zachowywali się tu, w obliczu nieco jarmarcznie kolorowych, śmiejących i warczących automatów, niczym gromada rozchabanich dzieci, które zamiast lekcji z algebry mogły urwać się do lunaparku.

Nie dziwie się zresztą moim znakomitym kolegom, gdyż sam nie byłem w

stanie oprzeć się przemożnej chęci zapopolowania na grubego zwierza, sprądzenia refleksu w uoynie morskiej (w czasie której udało mi się zatopić torpedami kilka co pomniejszych frachtowców i jeden krążownik) oraz skontrolować uczucia, jakich doznaje pilot pojazdu kosmicznego w czasie lądowania na Srebrnym Globie.

cezenia kabiny kosmicznej na określonym miejscu lądowania, jest rzędu mikronów — będzemy mieli obraz emocji, którą przeżywa gracze z swojego „piatała”. Wierzę mi: jest to emocja niemała różna tej, którą odczuwa musi każdy ścieto upieczony automobilista, kiedy pierwszy raz zasada za kierownicą swego samochodu...

Jedną z kolejnych szans w walce z „kolesiem” spod budki z piwem, sprzymierzeńca w rozpraszaniu nudy tradycyjnej „oka”, zatuszowanych kart do si, nie mówiąc już o używkach. Po to, aby tak się stało, nie możemy jednak tylko opierać się na imporcie. Musi znaleźć się ktoś, kto będzie w stanie skonstruować własne, krajowe automaty.

Bądźmy dorośli. Jeśli nawet zdarzy się nam przegrać, to nie będziemy mieli nazajutrz katka, nie będzemy w transie alkoholowym urządzali awantur, tarzali się po chodnikach, zalegali ławek w parkach. Jeśli zdarzy się nam przegrać lub jeśli okaże się — tak jak to miało miejsce w czasie owiej konferencji prasowej — że ktoś jest od nas „lepszy”, będzemy starali się ewentualnie refleks, oko, rękę — tak, aby go dogonić.

Jest jeszcze jeden aspekt owej zabawy. Politechnicza.

Jestem w stanie trzymać zakład, iż mało będzie graczy — zwłaszcza wśród najmłodszych, którzy obserwując zapalające się światła i światelka, ruch kuli, precyzyjne sumatory ukazujące natychmiast ilości punktów i trafień — nie zainteresują się budową owych aparatów, nie zapagną poznać zasad ich działania.

Jeśli nawet są to marzenia, to sam fakt, sama możliwość obcowania z elektroniką w czasie zabawy, jest na pewno liczącym się zyskiem.

Byłyby owe automaty nie podziwili losów telefonicznych aparatów wrzutowych... Obu!

Juliusz Solecki

Zabawa z elektroniką

Jest to — podobnie zresztą jak owa gra w okrety czy „nocny lot bojowy” — niezwykle pomysłowe i dowcipne urządzenie. Wystarczy wrzucić jeden z żetonów, aby szklana kabina ożyła. Raptem widzisz przed sobą powierzchnię Księżycy z zapalającymi się światłami kraterów, słyszysz głosy rozmów identycznych z tymi, które miały okazać się w czasie autentycznej transmisji z Odrodka Łabów Kosmicznych w Houston, dostrzegasz unoszący się nad Księżycem pojazd kosmiczny, który ty sam musisz naprowadzić na określone z góry miejsca lądowania.

Nie wiem, jak długo czynne będą owe zmyślne automaty, o których mów przyjaciel i kolega, inżynier z wykształcenia, tutejszy, że reprezentują niezwykle wysoki stopień elektronicznego wstawienia. Wiem jednak, że jeśli nie znajdują się u nas, którzy będą chcieli namówić zmyślne urządzenie, aby miały zainowować polską wybitnie, polskie pięćdziesięcioosobowe lub — co gorzej — bliższe od obywateli, Warszawa zyskała ośrodek naprawdy milej, inteligentnej i, śmiem rzec, całkowicie nieszkodliwej rozrywki.

Piszę „nieszkodliwej”, gdyż widać w owych automatach, w podobnych urządzeniach, które powiniły się stać elementarnym wyposażeniem klubów robotniczych, wiejskich i młodzieżowych

ktoś, kto zajmie się ich konserwacją i naprawą.

Naprawdę nie bójmy się, że ktoś tam przegra pięćdziesiąt lub nawet sto złotych. Przegrujemy od lat znacznie więcej, i to nie tylko w „Toto-lotka”, w którą to grę walczy co tydzień co najmniej połowa rodaków. Przegrujemy — jako społeczeństwo i jako naród — znacznie więcej w postaci zwałowych pieniędżaków po libacjach alkoholowych, wyprawek na budowę i jedzenia, grajkę w „liczyrzęski” i „lajkoniki”, przekładając miraż niespodziewanych milionów nad codzienną solidną pracę.

moje LEKTURY

Mazury Gálczyńskiego

W POSŁOWIU swej książki „Gálczyński na Mazurach” Andrzej Drawicz pisze o Gálczyńskim jako poecie najpopularniejszym w jego pokoleniu. Na „Zaczarowanej dorożce” uczyliśmy się czytania wierszy z potrzeby a muzu szkolnej lektury, podziewaliśmy się „cytatami z „Zielonej Gęsi”, szepotaliśmy pierwszemu sympiotom zamiast własnych czule słowa zacierając ze źmieszego tomu Oficyny Księgarskiej (...) Mogę przyświadczyć tym słowom, wesprzę argumentację autora. Na krótko przed swoją śmiercią był Gálczyński rzeczywiście uwielbiany przez ówczesnych młodych gniewnych, zaledwie dwudziestoletnich, „Zaczarowaną dorożkę”, „Wita Stwosza”, a zwłaszcza „Niobe” identyfikowaliśmy z prawdziwie nową poezją, przynoszącą i wywołującą wzruszenia. Na ile — zwłaszcza — rymnych „Wiosen Szesciolatki” czy „Strof o Planie” poezja Gálczyńskiego była całkowicie inna. Jej twórca przemawiał głosem ludzkim, a równocześnie zachowywał prawa sztuki poetyckiej. Wśród moich kolegów znajdował się nawet taki fanatyk autora „Zielonej Gęsi”, że w rozmowach mówił o nim po prostu: „Galka”. Raziło nas to wówczas, ale przecież tak określa się kogoś najbliższego, z kim pozostaje się w wielkiej zażyłości. Grupa moich kolegów udał się na jego pogrzeb z Lublina, by pożegnać ulubionego poeie w imieniu młodzieży polonistycznej.

Różnie się potem układały nasze przygody z poezją Gálczyńskiego. A zresztą, jak zauważa Drawicz, każdy ma swojego Gálczyńskiego. „Mój Gálczyński to przede wszystkim autor „Niobe” i „Pieśni”. A także „Dziękuję wina” i „Kroniki olsztyńskie”, „Zielonej Gęsi” także. Wiele wierszy się już zresztą osłuchało, nie budzą oddźwięku, przechodzi się koło nich obojętnie. Zacieśnia się krąg utworów o znamionach trwałości.

Drawicz, który zresztą ma już za sobą autorstwo monografii poświęconej poeie, zajął się w swej książce tylko jednym wątkiem biografii Gálczyńskiego — jego związkiem z ziemią i przyrodą mazurską. Powiada autor, że pisarz okazał się równie potrzebny Mazurom jak one jemu. Znamyśmy to doświadczenia do skutku dopiero pod koniec życia Gálczyńskiego, ale chyba przyszła w chwilach najwłaściwszych, kiedy poeie potrzebne było oparcie i miejsce, gdzie można schronić się przed naporem twardej rzeczywistości.

Autor „Zaczarowanej dorożki” miał już za sobą wiele wędrowek, dobrowolnych i przymusowych. Zmieniał miejsce pobytu, wytrwale poszukiwał swojej przystani. Przed wojną po rodzinnej Warszawie był Berlin, Wilno, znowu podwarszawska Anip, a następnie — po paru latach spędzonych w obozie niemieckim — wędrowki po Niemczech, Belgii, Francji i Italii, by po epizodach krakowskim i szczecińskim powrócić na koniec do punktu wyjścia — do Warszawy. Mazury urzekły Gálczyńskiego od razu. W ciągu czterech lat (1950—1953) przebywał tam cztery razy. Nie były to krótkie wycieczki — mazurskich miasteczek uzbierało się w życiu Gálczyńskiego kilkanaście, a więc przeszło rok przeżył poeta wśród tamtych lasów i jezior.

W taki sposób leśniczówka Pranie trafiła do literatury, została nobilitowana poetycko, stała się jedną z miejscowości na mapie liryki polskiej. Jak Czarnolas, jak tyle innych miejsc. Struna czarnoleska odezwała się od razu w „Kronice olsztyńskiej”, odnajdujemy echa pieśni o sobótce i „Trenów”:

Wszystkie szmery,
wszystkie trew kołysania,
wszystkich ptaków
i cieniów ptasich przelatywania,
znalazły liryczny zapis. W tym utworze, jak podkreśla Drawicz, Mazury obecne są najpełniej. Wystarczy znaleźć się w mazurskich okolicach poeie, aby jego głos — nienatrzętny, przyciszony — zaczął towarzyszyć wędrowcom w czasie spacerów, aby poza słowami odgadywał jego gętykację, łowić rytm kroków, domyślać się, jakimi słankami i o jakich porach chodził. Motywy mazurskie przenikają do wielu wierszy. Pisze tam Gálczyński i swoje najwyższego lotu utwory: Pranie znajduje się pod tekstem „Wita Stwosza”, wśród mazurskiego krajobrazu dojrzał poemat „Niobe”, a także „Pieśni”. Czystość brzmienia swej poeii, jej spokój i zestrojenie z rytmem przyrody, to Gálczyński świadczącemu Mazurom. Zetknięcie się z nimi wyznaczyło pewną, wyczuwalną wyraźnie granicę. Pisze Drawicz: To, co jest po [...] drugiej, już „mazurskiej” stronie, ma w sobie zaraz jakiś nowy ton, szerszy oddech, pewniejszy chwyty; jest tak, jakby ścianki wierszy rozsunęły się, zaczęły wiewać powietrzem, jakby głos okrzepł, a muskulatura stężała. Potem trwa to już do końca, użewatrzania się coraz bardziej.

Autor precyzyjnie i dokładnie wydobyl to, co ze spraw mazurskich przeniknęło do poeii Gálczyńskiego. Staral się też odwzorować „mazurską” biografie poeie. Może to dziwne, ale świadectw bezpośrednich, dotyczących mazurskich miasteczek pisarza znajduje się w książce niewiele. Przedmiotem opowieści, bo tak ujął swoją książkę Drawicz, staje się głównie poeja Gálczyńskiego, ukazał autor sposoby, jakimi wzbogacała się o nowe doświadczenia.

Pozostała na Mazurach leśniczówka Pranie, gdzie urządzono ekspozycję upamiętniającą pobyt poeie. Jest „sosna Gálczyńskiego”, trwa krajobraz, wśród którego pisarz przebywał. Ale najważniejsze, że pozostał on na zawsze utrwalaony w „Kronice olsztyńskiej” i innych utworach. Z nawiązką zwrócił Gálczyński dług wdzięczności.

Książkę wydało olsztyńskie „Pojezierze”. Należą mu się słowa uznania za inicjatywę; radość czytelnika i wdzięczność osłabia jednak strona graficzna książki: nieładna okładka, a przede wszystkim zły papier, który licznym fotografiami „mazurskim” Gálczyńskiego odbiera wiele wartości.

Tadeusz Klak

Andrzej Drawicz: Gálczyński na Mazurach. Olsztyn 1971. Wydawnictwo Pojezierze.

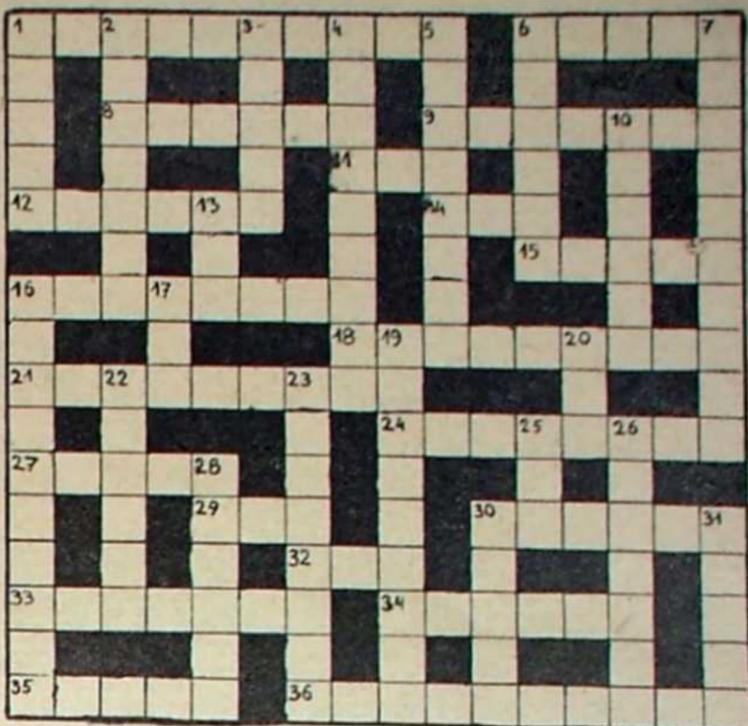
Krzyżówka nr 3

Posłowo: 1. powieściopisarz polski XIX w., autor wielu powieści o gwiazdach, 6. statek uprawiający nieregularną żeglugę, 8. miasto w Maroku zniszczone w 1960 r. przez trzęsienie ziemi, 9. dzikie konie, 11. rzeka z historii Wojska Polskiego, 12. część wód morskich oddziela przez rafę lub atol, 14. zabawa towarzyska, 15. dawna stolica Japonii, 16. pomieszczenie są wadunku naturalne, 18. XVI-wieczny kompozytor polski, twórca mszy i motetów polifonicznych a capella, 21. imię polskiego poeie, dramaturga i malarza zmarłego 63 lat temu, 24. kraj wyspa europejska, znana z trwałych wysp tam walc, 27. republika radziecka, 29. gatunek antylopy, 30. żona Rembrandta, 32. dopływ Wisły, 33. zab przędzi, 34. ludowe diabły, 35. wielkie jezioro w pn. Finlandii, 36. człowiek niepiśmienny.

Pionowo: 1. ojciec Ikara, 2. wielkie miasto w Szkocji, 3. jedno z głównych bóstw indoltrskich z 4 rękami, 4. poeta polski z XIX wieku, autor gawęd historyczno-etnograficznych, 5. szlachetny kamień zdobiony reliefem ciętnym wklesło, 6. przerebia piase na deski, 7. człowiek o stałej nieprawdopodobności osobowości, nie narazającej inteligencji, 10. imię znanego współczesnego malarza — ilustratora, 13. dopływ Warty, 16. poeta krakowski z XIX wieku, autor słów do „Krakowiaków” Moniuszki, 17. agencja prasowa NRD, 19. sporządzenie wykazów i spisów, 20. krewniak karpia, 21. wyspy w Ameryce Środkowej, 22. wieś u podnóża Górów, 23. dziewczynka z elementarza, 28. owoc południowy, 29. przedkowie z prehistorii, 30. wybitny poeta polski zmarły w 1957 r., 31. bogini mądrości.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

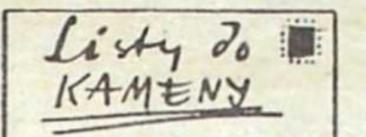
Rozwiązanie krzyżówki nr 1
Pozłowo: Rembrandt, herold, kraj, Gierzyński, Becc, Asil, archiwa, tytan, samba, arena, tunel, opera, szereg, cy-



st, Rioni, Boznańska, Vale, Ifni, Alt-dorfer, oaza, kwarta, niewiasta.

Pionowo: rekrut, Baję, augur, targi, Homer, opła, dominanta, abstynent, kawa, Canaletto, traper, astrograf, Macedona, Edison, Tenczynek, Abel, Hlada, zadra, Aaron, Klrow, lama, nota.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 1 nagrody wylosowali: Danuta Sadowska, Lublin, ul. Łęczyńska 59/26, Grażyna Janiszewska, Lublin, ul. Pradowników Pracy 1/13, Anna Bury, Radymno, ul. Słowackiego 22, woj. łódzkie, Zygmunt Pomagański, Radom, ul. Obronców 12/14 m.l.



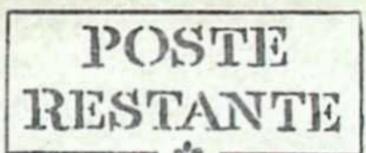
„Po kozuch do Kurowa”

Ubatul mnie setnie artykuł „Po kozuch do Kurowa”, pióra Ramunida Wisniewskiego (23 numer „Kamenu” z ub. roku). Przy okazji oświadczam, że w dniu 4 grudnia 1971 r., na drugi dzień po ukazaniu się tegoż numeru „Kamenu”, kupilem prywatnie w Kurowie kozuch meksi z 7000 złotych. Pojechałem do miasteczka także autobusem PKS, kozuch kupilem około 500 m od przystanku. Dłym w kilku miejscach, sprawdzony przez „babcię”, i wybrałem taki, jak sobie życzyłem. Pan redaktor miał wyjechać pociągiem, zły dzień, lub nie urzeczylił zafinans. Względem. Tak, tak. Gdy przed 12:00 godzinami byłem w Kurowie z kolegą, też zrobiliśmy z 10 kilometrowo ulicami i uliczkami, lecz „nikt nie wie ulic”. Zapytajmy-

na „babcię” też były nieufne, gdy to kołcu znalazła się uprzejma sprzedawczyni młodego berku, która na zapytanie, gdzie można dostać kozuch, odparła: „tam, na przystanku, są takie, co oprowadzają, sami nigdzie nie dostaniecie”. Okazało się, że miała rację. Tajemnica początkowych niepowodzeń wyjaśniła się zresztą szybko, kiedy „babcia” powiedziała, że mamy wyjechać tajniaków i nie wie, czy może zaryzykować. Pokazaliśmy legitymacje studenckie i w zamian obejrzelśmy kilka kozuchów. Nie odpowiadały nam jednak.

Sytuacja jest bardzo niezdrowa. Gdyby nie produkcja pokątna, nie można byłoby dostać modnego, ciepłego kozucha. (...) Co się dzieje z kozuchami za 2000 zł, które ówczas pojawiły się w sklepach futrzarskim przy ul. Hanka i w Lublinie, w skromnej zresztą ilości? A hylak pan ze Kurowie o krzyżówce studenckich kozuchów przemawia właścicielowi, właśnie w ostatnich dniach? Skąd były te kozuchy i w jakim celu je zgromadziło „Polotoko” na prywatnych handlarzy jest bardzo łatwo, obawiam się jednak, że jest to najgorsze wyjście z możliwych.

Jan Zupa
Lublin



Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Perfidia redaktora „Odpowiedzi redakcji” polega na tym, iż zarzucając rozmaitym autorom niedosko-

ności ortograficzne, nie podaje rzeczowej egzemplifikacji. Przypuszczamy zatem, że wymyśla on rozmaite autorów, by ułatwić sobie życie i tanim kosztem zarobić parę złotych. U nas nie z tych rzeczy. Oto teksty pewnego Pana z Lublina:

SZALONA MIŁOŚĆ

Czy ty nigdy nie ucieczył
ze cie kocham
Czy naprawdę tak jest trudno
wierzyć w to
Ja nie umię z Tobą znając
Wspólnego słowa
Gdy jesteśmy znowu razem
Ja i Ty
Jestem już samotny
niemam już nikogo
bo ty masz innego
i nie kochasz mnie
Ja totem że ci ciężko
nie widzieć tamtego
a ja wciąż bezczelnie

KOCHANA

Odeszłaś odamnie daleko
została tęsknota i żal
Me serce na ciebie wciąż czeka
hartye się do boju jak stal
Może czekam na próżno
Ty najlepiej o tym wiesz

Dawno nie mieliśmy przyjemności publikować tak wykwintnie wyrażanych konstatacji miłosnych.

Sprawy historyków

O humanistykę bez przegródek

W PRZEMIANACH jakie dokonywały się w naszym stuleciu w humanistyce francuskiej historycy odegrali istotną rolę. Czasopisma: „Revue de Synthèse Historique”, a następnie „Annales E. S. C.” skupiły wokół siebie, obok historyków, także ekonomistów, filozofów i socjologów — tych, dla których impas, w jakim znalazły się nauki społeczne w pierwszej połowie naszego wieku, był oczywisty i który wspólnie rozpoczęły poszukiwanie dróg do unowocześnienia francuskiej humanistyki.

„Annales” stworzyły płaszczyznę do porozumienia między poszczególnymi naukami społecznymi. Tutaj także ukazywał się program grupy historyków francuskich, zakładający pełne i równoprawne uczestnictwo historii w rozwoju nauk, dla których wspólnym przedmiotem badań jest człowiek.

Współautorem tego programu jest Fernand Braudel, związany z „Annales” w okresie międzywojennym, a od roku 1966 ich redaktor. Wybór prac tej grupy historyków, prezentujący główne wątki jego myśli, otrzymujemy obecnie czytelnik w języku polskim.

Przeciwstawia się równocześnie Braudel tym polemistom, którzy atakują historię posługującą się jej wizerunkiem z końca ubiegłego stulecia. Historia Braudela, historia „Annales” to nauka przeobrażona, otwarta na osiągnięcia innych nauk. Dziewiętnastowiecznej nauce o przypadkowym, opowiadającej o szczęśliwym, odbudowującej czas przeciwstawia się współczesna historia (która) w szech najgłębszych procesach pozostaje poza powściągnięciem. Jest to nauka badająca procesy rozwojowe i szukająca modeli, posługująca się długimi okresami czasowymi, długim trytem jako najbardziej obiektywną miarą trwałości i znaczenia badanych procesów czy zjawisk.

Interesujący jest stosunek Braudela do osiągnięć marksistowskiej myśli społecznej. W wykładzie wygłoszonym 23 kwietnia 1967 r. na Uniwersytecie Warszawskim powiedział m.in.: Kluczem do nauki o systemie społeczno-gospodarczym jest, jak sądzię, do najwłaściwego dorobku myśli marksistowskiej. Nie chcemyśmy ułożyć wyrażenia, że przemawiając do kraju socjalistycznego, czynię koncepcje na rzecz mojego audytorium. Wszystkie modele Markska to przecież modele długich procesów rozwojowych, „długiego trisenta”; niezłomność, feudalizm, kapitalizm, socjalizm. Wynoszę, że nie należy spoglądać na wykłady, jakimi obdarza się poszczególne systemy, ale raczej na drugorzędne: wydaje mi się, że zrodzi jesteśmy w ro-

lecznych w czasie. Dotykamy tutaj drugiego, centralnego problemu podjętego przez grupę „Annales”, określanego mianem „bojów o historię” — walki o uwzględnienie metod i dorobku historii przez inne nauki społeczne. Historycy epoką na metody i wyniki badań ekonomistów, socjologów, demografów, geografów czy antropologów i dostrzegają zarówno nowe perspektywy, nowe barwy, nie dostrzegane dotychczas z własnego, historycznego podwórka, jak i ulomności i ograniczenia „sąsiadów”, wynikające z zapoznania tego co już dokonano na sąsiednim, historycznym gruncie. Większość nauk społecznych jest przekonana, że świat narodził się dopiero wczoraj (a) naukowcy zwykli myśleć, że są samotnikami, a przynajmniej chęliby nimi być, ale w istocie rzeczy mają zawsze towarzyszy...

Przeciwstawia się równocześnie Braudel tym polemistom, którzy atakują historię posługującą się jej wizerunkiem z końca ubiegłego stulecia. Historia Braudela, historia „Annales” to nauka przeobrażona, otwarta na osiągnięcia innych nauk. Dziewiętnastowiecznej nauce o przypadkowym, opowiadającej o szczęśliwym, odbudowującej czas przeciwstawia się współczesna historia (która) w szech najgłębszych procesach pozostaje poza powściągnięciem. Jest to nauka badająca procesy rozwojowe i szukająca modeli, posługująca się długimi okresami czasowymi, długim trytem jako najbardziej obiektywną miarą trwałości i znaczenia badanych procesów czy zjawisk.

Interesujący jest stosunek Braudela do osiągnięć marksistowskiej myśli społecznej. W wykładzie wygłoszonym 23 kwietnia 1967 r. na Uniwersytecie Warszawskim powiedział m.in.: Kluczem do nauki o systemie społeczno-gospodarczym jest, jak sądzię, do najwłaściwego dorobku myśli marksistowskiej. Nie chcemyśmy ułożyć wyrażenia, że przemawiając do kraju socjalistycznego, czynię koncepcje na rzecz mojego audytorium. Wszystkie modele Markska to przecież modele długich procesów rozwojowych, „długiego trisenta”; niezłomność, feudalizm, kapitalizm, socjalizm. Wynoszę, że nie należy spoglądać na wykłady, jakimi obdarza się poszczególne systemy, ale raczej na drugorzędne: wydaje mi się, że zrodzi jesteśmy w ro-

zumieniu istoty systemu społeczno-gospodarczego. Zdzisław Janczarski jest ich trwałym. Zmienność historii, sensacyjne wydarzenia, zawirowania koniunktury, zamieszanie, krzywdy i cery nie są w stanie podkopać istnienia systemu — nie bardzo zresztą możemy, dlaczego. A potem, pewnego dnia, jakby zarko piasku upadło do miazg i wszystko poezyna się psuć.

Warto zasygnalizować jeszcze jeden pasjonujący wątek myśli Braudela, a mianowicie — rola historii w badaniach nad współczesnością. Wiąże się to z nowym określeniem tej nauki, jako studium społeczeństwa dawnych i dzisiejszych, rozpatrywanych wedle tej szczególnej zmiennej, jaką posługuje się historyk — truizem. Zrozumiemy współczesność bez historii nie jest możliwe, a historyk ma pełne prawo do udziału w dyskusjach o współczesności, na równi z przedstawicielami innych nauk społecznych.

Wpływy przedstawionych poglądów nie zanikają się, oczywiście, w granicach Francji, tym bardziej, że zalety stylu, hylakillowego, nierzadko ciężkiego, prawie zawsze polemicznego, a przy tym bardzo klarownego, powodują, że te refleksje wybitnego historyka z trudnej dziedzin metodologii nauk społecznych czytelnicy przyjmują z przyjemnością. To również, obok głównego problemu, będącego przedmiotem z kluczowych problemów współczesnej humanistyki — jak zachować, wobec rozwoju specjalizacji, jedność nauki o człowieku? — decyduje o zasięgu promieniowania francuskich propozycji.

Nie pozostali one bez echa także w Polsce, a samego Braudela łączy z naszym krajem i z naszymi historykami wieloletnie związki. Jest on członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk i doktorem honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Wyrażam tych związków są także wspólne przedsięwzięcia badawcze polskich i francuskich historyków, publikacje polskie w wydawnictwach i czasopiśmie francuskich, a zwłaszcza obecność dzieł polski w pracach mistrza i jego uczniów, zarówno w pracach przeznaczonych dla węższego grona czytelników jak i w podręcznikach szkolnych. Inspiracje fran-

cuskie w zakresie problematyki a także stylu dostarczają również w badaniach historyków polskich.

Jan Lewandowski

Fernand Braudel: Historia i trwanie. Przekład Bronisław Geremek, przemowa Bronisław Geremek i Witold Kula, „Czytelnik”, Warszawa 1971, ss. 369.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDEJ JAWORSKI i ZENON WISNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IBENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIEWSKA. Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer zam. łam. KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 15
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-93, sekretarz redakcji i dział publikacyjny 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131, poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.
LZGraf. Zam. 113. 12.1.1972. 18.337. B-4

Kamena str. 11

